

o. Henryk Ślusarczyk SVD

Z PAMIĘTNIKA
MISJONARZA
KOTA



na tropie
Kota Henrique...

o. Henryk Ślusarczyk SVD

Z PAMIĘTNIKA
MISJONARZA
KOTA

Kleosin 2024



© Copyright by Henryk Ślusarczyk SVD, 2024
© Copyright by Biuro Misyjne Księży Werbistów, Kleosin, 2024

AUTOR:

o. Henryk Ślusarczyk SVD

GRAFIKA:

Archiwum SVD

OPRACOWANIE:

Biuro Misyjne Księży Werbistów, Kleosin

Za pozwoleniem władz zakonnych

WYDAWCA:

Dom Misyjny Świętego Kazimierza – Misjonarze Werbiści
ul. Zambrowska 24, 16-001 Kleosin
tel. 85 747 49 65, www.werbisci-kleosin.pl

ISBN 978-83-970947-4-1

DRUK:

Drukarnia Księży Werbistów
Górna Grupa, ul. Klasztorna 4, 86-134 Dragacz
tel. 52 330 63 77, www.drukarnia-svd.com.pl

SŁOWA MOC

W roku 1981 po raz pierwszy w życiu wziąłem Pismo Święte w swoje dłonie. Było to jedno z wydań protestanckich, gdyż w tamtych czasach nie wszędzie Biblia Tysiąclecia była dostępna. Od tamtego momentu czytałem tę Księgę dość często sam. Na spotkaniach oazowych również było sporo czasu na czytanie, medytację i dzielenie się słowem Bożym z innymi. To był naprawdę ogromny przełom w moim życiu. Słowo Boże, które do tego momentu kojarzyło mi się przede wszystkim z rzeką teologiczno-filozoficznych słów wypowiedzianych w określonej kolejności z ambony, aby zaskoczyć słuchacza lub przycisnąć do muru grzesznika, naraz stało się słowem kochającego ojca do syna, dobrocią matki wobec dziecka, wyciągniętą dłonią przyjaciela – po prostu spotkaniem z Tym, który wie, czego w konkretnym momencie życia najbardziej potrzebuję.





W młodości, pomiędzy 1980 a 1985 r., lubiłem chodzić po górach. Przemierzałem ze znajomymi Beskid Żywiecki i Beskid Cieszyński oraz niektóre zakątki Karkonoszy. Aby wejść na szlak, musiałem przebyć pociągiem lub autobusem około 80 kilometrów z Mysłowic, mojej rodzinnej miejscowości. Wędrowanie po górskich szlakach najczęściej było związane z wakacyjnymi wyjazdami na rekolekcje oazowe. Wędrówki obejmowały tereny wokół takich miejscowości, jak: Koniaków, Istebna, Jaworzynka, Brenna, Ustroń, Szczyrk czy Wisła. Wysokość przemierzanych gór nie powalała z nóg. Jednak są to tereny bardzo urokliwe i dostarczają wielu wrażeń.

Wybierając się na szlak, braliśmy ze sobą tylko to, co najważniejsze, czyli: Pismo Świąte, śpiewnik z piosenkami religijnymi i turystycznymi, trochę jedzenia i wody, śpiwór, coś od deszczu i dobry humor. Wędrując – raz szerokimi leśnymi traktami, innym razem wąskimi i krętymi ścieżkami – spotykaliśmy oazowiczów z innych wspólnot, całe rodziny, indywidualnych turystów i zorganizowane grupy z różnych rejonów Polski i z zagranicy. Starym i dobrym zwyczajem pozdrawialiśmy każdego spotkanego wędrowca, już z daleka krzyżąc: „cześć” lub „dzień dobry”, w zależności od wieku spotkanej osoby. Większość ludzi równie radośnie odpowiadało na nasze pozdrowienia.

Zatrzymując się na odpoczynek na polanach lub przy specjalnie przygotowanych obozowiskach, pochłanialiśmy przygotowane kanapki (chleb, bułki i konserwa turystyczna) i wypijaliśmy duże ilości wody. Zazwyczaj kanapek było

za mało, a woda szybko „wyparowywała”. To jednak nie był problem. Wystarczyło tylko trochę na głos pobiadolić i zawsze znalazła się jakaś rodzina, która nadwyżki żywności i picia z radością przekazywała wygłodniałym wędrującym oazowiczom. My zapewnialiśmy ich o pamięci w modlitwie, która towarzyszyła nam w wielu momentach wypraw.

Czasem spotykaliśmy Czechosłowaków lub Niemców, którzy pytali nas, do jakiej należymy organizacji, bo nigdzie indziej w Europie nie spotkali tak radosnych, roześmianych młodych ludzi w środku lasu. Łamanym angielskim dawaliśmy świadectwo naszej wiary – najlepiej, jak potrafiliśmy. Interesowały ich również grube księgi, które prawie na każdym postoju otwieraliśmy i czytaliśmy wspólnie lub indywidualnie. Dla wielu Czechosłowaków to było pierwsze w życiu spotkanie z Biblią. W ramach ewangelizacji mieliśmy przygotowane na takie okazje cztery Ewangelie w formie małych książeczek. Rozdawaliśmy je zainteresowanym. Część z nich była w języku polskim, inne w angielskim i niemieckim. Nie były to zamierzone wyjścia w góry celem ewangelizacji, lecz byliśmy przygotowani, gdyby taka potrzeba się pojawiła. Ku naszej radości takie sytuacje się zdarzały.

Po zakończonym roku szkolnym, kiedy wyjeżdżaliśmy na rekolekcje oazowe, nie wyobrażaliśmy sobie, że można przez dwa miesiące zapomnieć o Bogu, o spotkaniu z Nim w sakramentach i w Jego słowie. Jak można korzystać z tego, co On stworzył, nie dziękując Mu za to i nie rozpoznając Go w tych rzeczach? Jak można wychodzić na górskie szlaki, nie mając jako opiekuna i przewodnika Tego, który te szlaki zna najlepiej? Jak można zapomnieć o najlepszym Przyjacielu i nie zabrać Go ze sobą w wymarzoną podróż? Poranna modlitwa

przed wschodem słońca wśród gór, słowo Boże towarzyszące przez cały dzień, *Magnificat* przy zachodzie słońca to nie tylko romantyczne wspomnienia z młodości, ale najzwyczajsze i najprostsze wyrażenie przyjaźni ze Stwórcą.



W latach 1980–85 uczęszczałem do Technikum Mechaniczno-Elektrycznego w Dąbrowie Górniczej, do klasy o profilu technik-mechanik obróbki skrawaniem. Jeden z moich profesorów z technologii budowy maszyn, jak sam twierdził, był zagorzałym komunistą i ateistą. Podczas jednej z naszych religijno-ideologicznych potyczek słownych w trakcie lekcji wyprowadziłem go z równowagi do takiego stopnia, że rzucił swoimi okularami w ławkę z taką siłą, że rozleciały się na dwie części. Główną przyczyną naszego słownego starcia i emocji sięgających zenitu był oczywiście Bóg i Jego istnienie. Jako młody i gorliwy „oazowiec” z upartością starego osła wykazywałem na różne sposoby, że Bóg istnieje. Profesor nie wytrzymał i z twarzą koloru pierwszomajowej szturmówki wykrzyczał, że Pismo Święte przeczytał w całości już dwa razy, lecz Boga w nim nie znalazł. A skoro Boga nie ma, to jak można naśladować kogoś, kto nie istnieje.

Pan profesor, chociaż przeczytał całą Biblię, i to dwa razy, nie znalazł w niej Boga. Być może nie szukał Go, a jedynie empirycznych, doświadczalnych dowodów na Jego istnienie. I nie znalazł ich. Za kim miał więc pójść, kogo naśladować?

CZŁOWIEK MĄDRY, DOBRY I ANIOŁ

Kiedyś dokładnie pamiętałem, co, jak i kiedy się stało. Teraz powoli pamięć wydarzeń ustępuje miejsca pamięci o osobach, które miały szczególne znaczenie w moim życiu, i nadal mają. Związane są z czasem świadomego uczenia się drogi Bożej świętości i doskonałości. Bóg-Człowiek wybrał dla mnie najlepszych nauczycieli. Pierwszymi byli rodzice oraz siostra i brat. Nauczycieli było zresztą wielu – to ci, którzy swoim życiem, trudnymi wyborami, cierpieniem i radością, niepewnością z jednej strony, a wiernością i nadzieją z drugiej pokazywali mi, jak wybierać Boga, ucząc się w skomunizowanej szkole średniej, na koncertach rockowych i hardrockowych, podczas wędrówki po górach czy też na treningach wschodnich sztuk walki.





Pamiętam, jak pewnego dnia ks. Jan zabrał mnie ze sobą. Wcześniej poprosił, żebym wziął sprzęt do sprzątania – wiadra, szmaty, miotły... Myślałem, że pójdziemy sprzątać salki katechetyczne. Jednakże skierowaliśmy się dalej, do centrum miasta i wyszliśmy poza teren naszej parafii. Minęliśmy rynek i na końcu ulicy Krakowskiej, przy placu Wolności weszliśmy do jednej z kamienic. Nie pamiętam dokładnie piętra, ale było to na samej górze. Stanęliśmy w ciemnym korytarzu naprzeciw starych, zniszczonych i brudnych drzwi. Ksiądz Jan zapukał. Otworzył starszy, już na pierwszy rzut oka schorowany mężczyzna. Po bardzo krótkiej rozmowie wzięliśmy się do pracy. Były to generalne porządki jak przed świętami. Ksiądz Jan nie nadzorował mnie, ale pracował razem ze mną. Ten starszy mężczyzna po ludzku nie wydawał się nikim nadzwyczajnym, a po Bożemu był nadzwyczajny – ubogi i potrzebujący pomocy. Dlatego właśnie u niego się znaleźliśmy, dlatego właśnie tam wziął mnie ze sobą ks. Jan. Taki był ks. Jan.

Uważnie przyglądałem się wszystkiemu, co ks. Jan, wikary z mojej rodzinnej parafii, robił, bo mówił niewiele. Jego postawa wobec ludzi ubogich i pokrzywdzonych przez los, ciężka praca, której się nie bał i nie unikał, jego bezkompromisowe zaangażowanie w duszpasterstwo dawały mi poczucie pewności, że warto walczyć o dobro i sprawiedliwość mimo wszelkich trudności i przeciwności losu. Dlaczego tak bardzo go cenię? Ponieważ – z tego, co pamiętam z tamtych lat – ks. Jan nie załatwiał spraw duszpasterskich, ale był dla ludzi dobrym człowiekiem i duszpasterzem. Nie przychodził na nasze spotkania oazowe z przymusu, ale by z nami być.

Był z nami na liturgii w kościele, przy jego sprzątaniu i ramię w ramię przy generalnym remoncie probostwa. Wiele się od niego nauczyłem.



Moja formacja zakonna, poczynając od nowicjatu do końca drugiego roku teologii, przebiegała bez szczególnych i nadzwyczajnych wydarzeń. Pierwszy rok nowicjatu uważam za bardzo udany. Większość rzeczy, które mnie tam otaczały, były albo zupełnie nowe, albo inaczej „celebrowane” niż w moim rodzinnym domu. Następne dwa lata studiów filozoficznych w Nysie dały nam klerykom trochę popalić od strony intelektualnej – nie było łatwo, ale też uważam, że był to wspaniały czas formacji zakonnej. Kolejnym etapem były studia teologiczne w seminarium w Pieniężnie. To był czas wyplięnięcia na głębokie wody w formowaniu umysłu, serca i ducha.

Studia teologiczne rozpoczęły się od rekolekcji i odnowienia ślubów zakonnych na kolejny rok. Prowadził je karmelita, o. Serafin. W połowie rekolekcji odezwał się we mnie głos tęsknoty za duchowością karmelitańską, z którą miałem do czynienia jeszcze przed wstąpieniem do werbiatów. Udałem się na duchową rozmowę z o. Serafinem. Zapytałem go wprost, czy kontynuować jako werbista, czy może udać się do karmelu? Skąd mam wiedzieć, że ta droga, którą idę, jest właściwa? Ojciec Serafin przesunął w moim kierunku Pismo Święte i Konstytucje Zgromadzenia Słowa Bożego, które leżały na jego biurku i powiedział tak: „Bądź przyjacielem słowa Bożego, medytuj je i nim żyj najlepiej, jak potrafisz. To samo zrób z Konstytucjami zakonnymi.

Czytaj je uważnie, poznawaj je i żyj nimi tak, jakbyś był werbistą od 50 lat”. „I co dalej?” – zapytałem. W odpowiedzi usłyszałem: „Żyj tak przez najbliższy rok, a później spotkamy się i porozmawiamy”. Bardzo gorliwie wzięłem się do zleconego mi zadania. Nikomu o tym nie opowiadałem. Do rozmowy jednak nigdy nie doszło, a ja już prawie 40 lat jestem szczęśliwym werbistą i nadal chcę nim być. Mądry człowiek z tego o. Serafina.



Ojciec Sylwester pojawił się w trudnym momencie mego życia. Dwa lata od rozmowy z o. Serafinem złapała mnie kolka nerkowa – złapała i nie chciała puścić przez prawie dwa miesiące. Było to na przełomie marca i kwietnia 1990 r. Po kilku tygodniach w szpitalu powróciłem do seminarium tuż przed sesją egzaminacyjną kończącą rok akademicki. W drzwiach do mojego pokoju – zamiast powitania – usłyszałem, że zostałem wysłany na roczny pobyt poza seminarium do naszej wspólnoty zakonnej w Rybniku. Była to swego rodzaju kara. Do dziś nie wiem dlaczego lub za co. Pytałem wszystkich wychowawców i przełożonych, lecz odpowiedź nigdy się nie pojawiła. Ten dzień sprawił, że całe moje życie, łącznie z ostatnimi dwoma latami wielkiego wysiłku, aby być werbistą całym sercem do granic możliwości, zatrzęsło się w posadach.

Nie wiedziałem, co mam zrobić. Zdałem egzaminy, spakowałem się i pojechałem do Rybnika. W moim sercu było bardzo dużo smutku, bólu, buntu i poczucia wielkiej niesprawiedliwości. Zastanawiałem się, czy sobie z tym poradzę. Ktoś na pocieszenie zacytował fragment z Biblii,

że kogo Bóg miłuje, tego doświadcza. A ja byłem tak pełny gniewu, że chciałem dać mu odpowiedź, której na ten sam fragment udzielił młody rabin: „Mógłbyś mnie, Boże, kochać trochę mniej?”.

Rodzice przywieźli mnie do Rybnika. Przechodząc z parkingu przed kościołem do naszego domu misyjnego, minęliśmy jakiegoś dziadka w kufajce zamiatającego liście i śmieci z chodnika. Jeszcze tego samego dnia podczas kolacji odkryłem, że ten dziadek to 83-letni współbrat, o. Sylwester Pietruszka. Bóg nie tylko dopuszcza trudne doświadczenia, ale również posyła swoich aniołów, aby byli wsparciem podczas nich. Tym aniołem dla mnie był o. Sylwester. Od samego początku mojego pobytu we wspólnocie rybnickiej był moim spowiednikiem i duchowym kierownikiem. Często dzielił się swoim życiowym doświadczeniem, nie ukrywając błędów, które popełnił. Widząc, jak bardzo zmagiałem się z gniewem i złością w moim sercu z powodu przeżywanej niesprawiedliwości, opowiedział mi historię, której nikomu wcześniej nie opowiadał.

A było to tak: o. Sylwester urodził się w 1907 r., siedem lat przed rozpoczęciem I wojny światowej, w Polsce, w kraju rozbitym przez 123 lata okupacji przez trzy imperia: Rosję, Austrię i Prusy. Na jego życie wpłynęła nienawiść do tych, którzy próbowali zniszczyć jego kraj i zabili wielu jego przyjaciół i krewnych. Jako młody człowiek dorastał w odrodzonym kraju borykającym się z problemami wewnętrznymi i zewnętrznymi, gdzie wciąż żywe były wspomnienia dyskryminacji i prześladowania Polaków. Z takim zapleczem historycznym i społecznym pod koniec I wojny światowej wchodził w młodzieńcze życie.

Kiedy miał około 12 lat, świat był w ostatnich dniach I wojny. W pobliżu jego domu maszerowali jeńcy niemieccy. Niektórzy – bardzo zmęczeni, chorzy, ranni i prawie umierający z głodu – siedzieli lub leżeli na ziemi. Jeden z nich, widząc Sylwestra trzymającego w rękach koszyk wypełniony śliwkami, błagał go, aby dał mu chociaż dwie śliwki. Sylwester, pełen gniewu, odwrócił się na pięcie i poszedł do domu. Po drodze pomyślał: „Jak to możliwe, że ten niemiecki morderca poprosił mnie o przysługę? Może to on zabił mojego tatę, innych krewnych i przyjaciół”. Po chwili milczenia kontynuował: „W tamtym czasie byłem pełen gniewu, zły i bezlitosny. Nie chciałem wybaczyć. Dlatego nie mogłem się podzielić swoimi śliwkami”.

Poprzez to bolesne doświadczenie z przeszłości Bóg pomógł zrozumieć Sylwestrowi moc miłości, która wyraża się w przebaczeniu. Jego postawa wobec Boga, ludzi i życia znacznie się zmieniła. Postanowił wstąpić do zgromadzenia zakonnego. Około 20 lat po tym wydarzeniu Sylwester został księdzem-misjonarzem całkowicie oddanym posłudze pojednania w sakramencie spowiedzi. Krótco przed śmiercią o. Sylwester powiedział: „Henryku, pamiętaj, przebaczenie to jedyny sposób, abyśmy mogli dzielić się naszymi »śliwkami« z innymi”. Towarzysząc mi przez rok, ukazywał, czym jest przebaczenie, pomagał mi zrozumieć jego uzdrawiającą moc tak dla dającego, jak i dla przyjmującego je. Dzięki o. Sylwestrowi czas buntu przemienił się w szkołę przebaczenia i pojednania, a rok spędzony poza seminarium – w najwspanialszy czas mojej kleryckiej formacji.

Prócz tak ważnych rzeczy jak przebaczenie i pojednanie mogłem od o. Sylwestra nauczyć się o wiele więcej. Mam nadzieję, że przynajmniej trochę zaraziłem się od niego podejściem do modlitwy, do drugiego człowieka i do wspólnoty Kościoła powszechnego.

Ojciec Sylwester poświęcał czas na modlitwę prywatną i wspólnotową. Była dla niego nie tylko wypełnieniem obowiązków religijnych, ale przede wszystkim świadomym trwaniem w obecności Boga poprzez ciszę i medytację. Jeśli w czasie modlitwy ktoś przyszedł i poprosił go o pomoc, widział w tym możliwość innego doświadczenia Boga, a nie przerwanie praktyki duchowej. Nigdy nie narzekał, że ludzie przeszkadzają mu w modlitwie. Był cierpliwy i miał nieograniczony czas dla każdej osoby. Ludzi traktował w taki sam sposób, bez względu na to, czy był to przełożony prowincjalny, czy biedny i uzależniony od alkoholu człowiek. Obydwaj byli dla niego jednakowo ważni. Nie wstydził się pracować z bezrobotnymi kobietami grabiącymi liście, odśnieżającymi plac kościelny i teren przed naszym domem. Pokora i prostota były najważniejszymi czynnikami w jego relacjach z ludźmi.

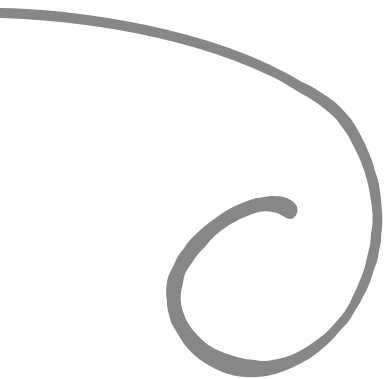
Podziwiałem u o. Sylwestra otwartość na zmiany w Kościele. Przez całe życie interesowały go wszystkie nowe oficjalne dokumenty z Watykanu. Czytał je krytycznie i z rozwagą stosował w swoim życiu. Był jednym z pierwszych księży w Polsce, którzy odprawiali Mszę Świętą w języku polskim po reformach liturgicznych w Kościele. Miał już 76 lat, gdy w 1983 r. wprowadzono nowe prawo kanoniczne. Mimo że był już niemłody, studiował je, ponieważ chciał zrozumieć ducha Kościoła, który nieustannie się

rozwija. Jego pragnieniem było poznanie nowego prawa kanonicznego po to, aby ludziom wierzącym pomóc lepiej rozumieć Kościół i żyć zgodnie z obowiązującym w nim prawem. Ojciec Sylwester był otwarty nie tylko na te strukturalne i liturgiczne zmiany w Kościele, ale także z wielką pasją poznawał ruchy wyzwolenicze w Ameryce Łacińskiej, kontrowersyjne kwestie inkulturacji w Afryce i Azji oraz ruchy feministyczne w krajach zachodnich. Nie znaczy to, że akceptował wszystko, ale szukał odpowiedzi na trudne pytania o ludzką egzystencję i relacje z Bogiem w kontekście Kościoła katolickiego we współczesnym świecie.

Wspominając postać o. Sylwestra, zastanawiam się, czy ja będę w stanie podzielić się z każdym człowiekiem „sylwestrowymi śliwkami” przebaczenia i pojednania. Czy przypadkiem brudna polityka, śmiercionośne ideologie, przekupne media i inne brudy tego świata nie spróbują po raz kolejny nas podzielić, wmawiając nam, że każdy człowiek to nasz wróg? A może warto zaryzykować, tak jak uczynił to o. Sylwester, i wyłączyć fałszywych nadawców tego świata, a włączyć tylko jednego: serce ukształtowane na wzór serca Jezusa Chrystusa, zdolne, by kochać i przebaczać.

GDY BÓG BIERZE W SWOJE DŁONIE

Chcesz wiedzieć, kim jesteśmy, my – zakonnicy i siostry zakonne? Jesteśmy twoim bratem, siostrą, synem, córką, kuzynem, wnuczką, koleżanką z klasy, kumplem z zakładu pracy, rezerwistą z twojego rocznika i jednostki, lekarką anesteziologiem, mechanikiem samochodowym, aktorką, wicemistrzynią Europy w biegach narciarskich, byłym więźniem, nawróconą aborcjonistką. Bóg wybiera, kogo chce i kiedy chce! Dzisiaj może wybrać ciebie! Nie bój się! Wraz z wyborem otrzymasz moc Ducha Świętego i wszystkie potrzebne dary, aby głosić Królestwo Boże na całym świecie, nawet w najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych zakątkach tego świata. Dzisiaj Bóg nie potrzebuje zapatrzonych w samych siebie gogusiów. On potrzebuje ciebie!





Na przełomie marca i kwietnia 1985 r., w czasie rekolekcji w sąsiedniej parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Mysłowicach miało miejsce niepozorne na pierwszy rzut oka wydarzenie. Przechodząc obok kościoła, spotkałem kolegę, który podarował mi kalendarzyk kieszonkowy otrzymany od misjonarzy głoszących rekolekcje. Można powiedzieć: mała rzecz, a cieszy. Nadaje się do sporządzania notatek, oferuje ciekawe myśli na każdy tydzień, zawiera czytania mszalne i jeszcze kilka innych przydatnych informacji. Pomyślałem: praktyczny prezent, może się do czegoś przyda. I włożyłem go do kieszeni. Nie pomyślałem wtedy jednak, że Bóg, kiedy weźmie coś w swoje dłonie, nawet jeśli jest to wielkości najmniejszej mrówki, może wywołać falę tsunami zmieniającą wszystko wokół człowieka. I tak się stało. Na kilku stronach kalendarzyka były umieszczone informacje na temat charyzmatu i działalności misjonarzy werbistów. Była tam mowa o pracy wśród najuboższych i cierpiących, o głoszeniu Chrystusa tam, gdzie jeszcze nikt o Nim nie słyszał.

Z perspektywy czasu widzę, że Bóg, pozwalając mi żyć wśród tych, których postawił na mojej drodze, uczył mnie wspaniałych rzeczy o Jego miłości i o słabości człowieka. Natomiast poprzez ten mały kalendarzyk otworzył moje oczy na cały świat i zaprosił do głoszenia Ewangelii jako misjonarz werbista. Zaprosił do pójścia za Nim, tak jak uczynił to z Piotrem, Andrzejem, Pawłem i wielu innymi, zwracając się do każdego z nich słowami: „Pójdź za Mną”.



Przed wstąpieniem do Zgromadzenia Słowa Bożego moja wiedza na temat życia zakonnego była bardzo, delikatnie mówiąc, niepełna. W skali od 1 do 10 przyznałbym sobie 3 punkty. Decydując się na zostanie werbistą, kierowałem się trzema pragnieniami: głosić Chrystusa na całym świecie, żyć i pracować wśród ubogich i czynić to we wspólnocie takich samych szaleńców jak ja. Kiedy podjąłem decyzję o wstąpieniu do zakonu, nie miałem pojęcia i nie interesowało mnie zupełnie, jak ubierają się werbiści, jakie mają sutanny czy habity zakonne. Nie wiedziałem, na czym polega formacja zakonna, jakie są jej etapy i co trzeba zrobić, aby dotrzeć do końca. Nie wiedziałem, że jest to zgromadzenie zakonne pracujące w kilkudziesięciu krajach na całym świecie i składające się z kapłanów i braci różnych narodowości. Przyjechałem do nowicjatu bez żadnych oczekiwań i planów na przyszłość. W moim sercu były tylko wyżej wspomniane pragnienia i pewność, że w tym miejscu mogę je zrealizować. Lata formacji seminaryjnej, posługa w szpitalu, kilkanaście lat na misjach w Angoli, dodatkowe studia w Chicago, bycie wychowawcą zakonnym czy też dyrektorem werbistowskiej drukarni skorygowało co nieco moje pragnienia, a raczej sposób ich realizacji. Odkryłem, że zakonnicy też się kłócą, chrapią, mają wady, chodzą po górach, biorą udział w spływach, szarżują na katamaranach, grają w piłkę nożną, i to nie najgorzej. To po prostu zwykli faceci, tylko że „w czerni”.



Zdarzało się jednak, że wstępowali do zakonu ludzie o specyficznym rozumieniu życia zakonnego. Było ich niewielu, ale się zdarzali. Tylko nieliczni z tej grupy ludzi kontynuują życie zakonne. Oto kilka skrajnych przypadków, których byłem naocznym świadkiem, a które obrazują specyficzność pojmowania życia zakonnego.

U werbistów mamy wydarzenie nazywane świętem rodzinnym. W tym dniu odkładamy na bok codzienne zajęcia, pracę i naukę. Spotykamy się przy wspólnym stole, urządzamy gry i zabawy. Cały dzień poświęcamy na bycie razem jak jedna rodzina. Pamiętam, jak będąc w seminarium w Pieniężnie, podczas święta rodzinnego graliśmy w siatkówkę z siostrami Służebnicami Ducha Świętego. Podczas gry piłka lekko uderzyła w głowę jednej z sióstr i spowodowała strącenie welonu, który wraz z piłką przeleciał kilka metrów w powietrzu. Wyglądało to bardzo zabawnie. Wszyscy zaczęliśmy się śmiać. Prawie wszyscy. Obok mnie stał kolega, który dłońmi zakrył oczy, a następnie obrócił się tyłem do siostry bez welonu. Zapytałem, czy coś się stało, a on odpowiedział, że nie wolno patrzeć na siostrę zakonną bez welonu, bo to grzech. Takiej postawy nauczył się w domu rodzinnym.

Innym razem przyjechali do nas dobrodzieje z całej Polski. W większości były to osoby starsze, które codziennie modlą się za nas, ofiarując Bogu swoje modlitwy i cierpienia w naszych intencjach. Wielu wspiera również materialnie misyjne dzieło na całym świecie. Kiedy weszliśmy do auli, w której byli oni zgromadzeni, z wielką radością zaczęliśmy

się witać. Jeden kleryk z naszej grupy po przywitaniu się szybko zniknął. Kilku kolegów spotkało go przy kropielnicy z wodą święconą, w której obmywał swoje dłonie z „pokus”, które na niego przeszły, gdy witał się z kobietami. Ktoś powie, że to skrajny fanatyzm. Tak, zgadzam się w stu procentach. Ale to taki sam fanatyzm, jak robienie z zakonników i zakonnic morderców i satanistów, jak to czynią niektórzy współcześni politycy lub twórcy filmowi.



Właściwe zrozumienie, czym jest życie zakonne napotyka wiele przeszkód i trudności również ze względu na lokalne lub kulturowe uwarunkowania. Około 2003 r. w seminarium misyjnym w Angoli miało miejsce dość ciekawe wydarzenie. Starszy brat zakonny Dorvalino wraz z grupą kilku seminarzystów poszedł wykopać rów odprowadzający z naszego podwórka wodę, która gromadziła się tam w czasie pory deszczowej. Praca nie była łatwa. Na dole twarda ziemia, u góry palące słońce. Wszyscy ciężko pracowali, na czele z 75-letnim bratem. Tylko jeden kleryk stał w cieniu i nie chciał pracować. Brat Dorvalino, bardzo zdenerwowany, zapytał go, dlaczego nie pracuje wraz z innym. W odpowiedzi kleryk wyciągnął swoje dłonie w kierunku brata i powiedział: już za niedługo te dłonie będą namaszczone świętym olejem nie po to, aby je brudzić jakąś łopatą. Po dwóch dniach odwiozłem go do domu rodzinnego. Seminarzyści wiedzieli, że kto brzydzi się jakąkolwiek pracą, biurową czy fizyczną, ten nie ma lub nie rozumie powołania do życia zakonnego. W przypadku tego kleryka sprawa miała swoje uwarunkowania w miejscowej kulturze i tradycji, które nie zawsze pokrywają się z wartościami

chrześcijańskimi. Krótko mówiąc, dla niego bycie księdzem oznaczało przynależność do wyższej „kasty”, która nie powinna zajmować się przyziemnymi pracami.

Te postawy są też lustrzanym odbiciem tego w jaki sposób postrzegane jest życie zakonne w rodzinach i różnych środowiskach, z których pochodzą kandydaci do życia zakonnego. Lata formacji zakonnej, a przede wszystkim starsi mądrzy współbracia i siostry, pomagają nam „nawrócić się”, poznać i zakosztować prawdziwego życia uczniów Chrystusa w zakonie, pozostawiając daleko za sobą wcześniejsze błędne wyobrażenia o nim.

Czym jest życie zakonne? Można je porównać do chrześcijańskiego małżeństwa tylko przeżywanego w trochę innej formie. Tak jak małżonkowie i wszyscy chrześcijanie żyjemy według rad ewangelicznych, którymi są czystość, ubóstwo i posłuszeństwo. Małżonkowie poprzez sakrament małżeństwa, a my poprzez śluby zakonne zobowiązujemy się do życia zgodnego z Ewangelią i do głoszenia jej całemu światu. Jako osoby zakonne nieposiadające żon, mężów i dzieci jesteśmy w stanie poświęcić cały swój czas na głoszenie Chrystusa i dotrzeć z Dobrą Nowiną niemalże do całego świata. Każdy zakon wyróżnia się charyzmatem, czyli specyficzną posługą (pracą), którą służy w Kościele powszechnym. Jedne zgromadzenia zakonne zajmują się pracą edukacyjną dzieci i młodzieży, inne prowadzą ośrodki zdrowia i szpitale, jeszcze inne pracują z więźniami, uprawiającymi prostytucję i narkomanami. Są też takie zakony, które poprzez nowoczesne media starają się dotrzeć z Bożym darem nadziei do ludzi odizolowanych od rodziny i przyjaciół poprzez uzależnienie od gier i internetu.



Pewnego razu, było to około 2010 r., przysłuchiwałem się rozmowie kilku kapłanów i braci zakonnych. Jeden z nich podzielił się treścią rozmowy ze współbratem ze swojej wspólnoty, który stwierdził tak: „Dzisiaj już nie mogę ci pomóc, ponieważ pracowałem jako zakonnik osiem godzin, a reszta czasu jest dla mojego prywatnego użytku”. Ciekawie to brzmi: być zakonnikiem na pół lub na pełny etat.

Od prawie 40 lat jestem werbistą. W tym czasie przy różnych okazjach i w różnych miejscach świata usłyszałem pytanie, ile godzin dziennie pracuję jako kapłan, misjonarz i zakonnik. Przez wiele lat dawałem różne odpowiedzi. Chociażby kiedy pracowałem jako kapelan w szpitalu na pełny etat, godzin spędzonych wśród chorych było naprawdę bardzo wiele. Wezwania do ciężko chorych i umierających nie należały do rzadkości bez względu na pogodę i porę dnia. Pełniąc funkcję wychowawcy i rektora w seminariach w Angoli i będąc wychowawcą w postulacie w Polsce, nieustannie nie miałem czasu, aby ogarnąć wszystkie wyznaczone prace. Na pracę w ośrodkach formacyjnych, diecezjalnych i zakonnych składało się wiele przeróżnych zajęć, poczynając od tych najbardziej oczywistych, takich jak formacja duchowo-intelektualna kleryków, poprzez naprawę samochodu lub generatora, po bycie powiernikiem smutków i radości naszych wychowanków. Kto był wychowawcą, w jakiegokolwiek stronie świata, wie bardzo dobrze, że ta praca nie ma określonego wymiaru godzinowego. Po prostu wychowawcą jest się 24 godziny na dobę. Nie inaczej było, kiedy zostałem dyrektorem drukarni zakonnej w Górnej Grupie niedaleko Grudziądza. Chociaż w grafiku wpisane

było osiem godzin pracy, to i tak często siedziało się w biurze lub załatwiało sprawy w terenie poza tymi godzinami.

Dzisiaj na to samo dziennikarskie pytanie odpowiadam, że od prawie czterech dekad nie pracuję ani w zgromadzeniu zakonnym, ani w Kościele powszechnym, ani we wspólnocie werbistowskiej w Kleosinie. Nie, absolutnie nie! To nie są miejsca mojej pracy, to są miejsca i wspólnoty, w których żyję, by głosić Ewangelię o Królestwie. Jezus Chrystus nie wynajął mnie do pracy ani etatowej, ani na umowę-zlecenie. Nie otrzymałem pracy do wykonania, lecz powołanie do świętości, by nim żyć i dzielić się z innymi.



Przebywając w Stanach Zjednoczonych na studiach z duchowości biblijnej, miałem okazję przyjrzeć się tam działalności moich amerykańskich współbraci, wielu kapłanów z innych zakonów oraz księży diecezjalnych pracujących wśród ludzi z różnych grup społecznych, wśród których byli między innymi wyznawcy różnych religii i ludzie niewierzący. Ludzie ci, doświadczając różnego rodzaju cierpień spowodowanych chorobami, niesprawiedliwością, wyzykiem, odrzuceniem czy pogardą, otrzymywali od przedstawicieli naszego Kościoła pomoc. Było w tym wszystkim wiele dobrych uczynków. Jednak w wielu przypadkach czegoś tam brakowało. Po latach, czytając dekret o działalności misyjnej Kościoła, odkryłem brakujący element tego rodzaju działalności wielu ludzi wierzących. W dekrecie czytamy tak: „Nie wystarcza jednak, żeby lud chrześcijański był obecny i zorganizowany wśród jakiegoś narodu; nie wystarcza też, żeby spełniał apostołstwo dobrego przykładu.

Jest on na to ustanowiony i na to obecny, aby współobywatelom niechrześcijanom głosić Chrystusa słowem i czynem i pomagać im do pełnego przyjęcia Chrystusa" (*Ad gentes divinitus* II, 15 – *Dekret o działalności misyjnej Kościoła*).

Polityczna poprawność, która w dzisiejszym świecie jest nowotworem zzerającym bezkompromisowe głoszenie-przepowiadanie Ewangelii o Królestwie Chrystusowym, sprawiła, że niektórzy katolicy przestali głosić nauczanie Chrystusa, aby nie urazić słowami i wymogami Jego Ewangelii ludzi z innych religii czy niewierzących. O potrzebie głoszenia nauki Chrystusowej dosadnie pisze Paweł do Tymoteusza w swym liście: „Zaklinam cię wobec Boga i Chrystusa Jezusa, który będzie sędził żywych i umarłych, i na Jego pojawienie się, i na Jego królestwo: głoś naukę, nastawaj w porę, nie w porę, [w razie potrzeby] wykaż błąd, poucz, podnieś na duchu z całą cierpliwością, ilekroć nauczasz” (2Tm 4,1).

Gdy ktoś mnie pyta, czy wierzę w Kościół, odpowiadam: „Tak, wierzę w Kościół Chrystusowy! Wierzę w Kościół, który dotyka ran Jezusa Chrystusa w ubogich, cierpiących, prześladowanych, oczernianych. Wierzę w Kościół, który wsłuchuje się w głos swego Boga przemawiającego przez ludzi różnych kultur i narodów. Wierzę w Kościół Chrystusowy, który jest domem i rodziną, a nie miejscem ośmiogodzinnej pracy zarobkowej. Wierzę w Kościół Chrystusowy, w którym nie ma miejsca na polityczną poprawność w głoszeniu Ewangelii i który odważnie i bezkompromisowo przepowiada Królestwo Boże, nieustannie powtarzając słowa Jezusa Chrystusa: »Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!« (Mk 1,15)».



Asia, osiemnastoletnia pacjentka oddziału ortopedycznego, wraz ze swoim około dwudziestoletnim kolegą Kubą, pacjentem tego samego oddziału, przychodzili na naszą szpitalną salę prawie każdego dnia. Było nas tam ośmiu mężczyzn w wieku od około 26 do 83 lat. Wszystkich wszystkim bolało, ale atmosfera była bardzo radosna. Jak to bywa w takich warunkach, szybko przeszliśmy z oficjalnej formy „pan” na „ty”. Od czasu do czasu graliśmy w karty, rozmawialiśmy o pracy i rodzinie, jeden miał talent i dobrą pamięć do opowiadania kawałów. I tak mijały nam dni w oczekiwaniu na zabiegi lub na powrót do domu już po operacji.

Asia i jej kolega znaleźli się w szpitalu z dwóch różnych powodów. Asia uległa wypadkowi, jadąc na motocyklu ze swoich chłopakiem. Znalazła się w szpitalu w ciężkim stanie. Można powiedzieć, była to rzecz normalna – w wypadku motocyklowym doznaje się często uszkodzeń całego ciała. Kuba miał lekką stłuczkę samochodową, o własnych siłach wysiadł z auta i prócz bardzo lekkich stłuczeń nie miał nic złamanego, a jednak też trafił do szpitala w ciężkim stanie. Otóż, jadąc swoim samochodem zgodnie z przepisami, został specjalnie zepchnięty na pobocze przez kierowcę innego samochodu. Myśląc, że był to nieszczęśliwy wypadek, wyszedł z samochodu, aby się upewnić, co się stało. Wtedy z drugiego pojazdu wyskoczyło kilku osobników z kijami bejsbolowymi i zmasakrowało Kubę. Po pewnym czasie okazało się, że miała to być zemsta na kim innym, ale pomyliły im się samochody. Kuba stał się przypadkową ofiarą bandyckich porachunków. Oboje, Asia i Kuba, mieli

bardzo poważnie uszkodzoną głowę. W ich mózgach zaszły nieodwracalne zmiany.

Po tych zdarzeniach ich życie zmieniło się o 180 stopni. W obu przypadkach uszkodzenia mózgu były na tyle poważne, że cofnęli się w swoim rozwoju. Asia i Kuba zachowywali się jak dzieci mające po siedem lub osiem lat. Przychodzili na naszą salę zagrać w karty, w *Piotrusia*. Opowiadaliśmy im różne zabawne historyjki z naszego życia, z czasów dziecięcych i młodzieńczych. W swoich szafkach nocnych nie mieli już miejsca na słodycze i owoce, bo prawie każdy z nas, dorosłych, dawał im codziennie ciastka, czekolady, jabłka i pomarańcze. Asia z Kubą często siadali na łóżku mojego sąsiada i rozmawialiśmy tak długo, aż pielęgniarka lub lekarz zagonił ich na zabiegi albo na posiłki. Czasem ich naloty na naszą salę były trochę uciążliwe, bo chcieli się bawić, jak to małe dzieci, a my chcieliśmy uciąć sobie krótką drzemkę po obiedzie. Wołałem ich wtedy, aby usiedli blisko mnie i albo objadaliśmy się słodyczami, za którymi ja też przepadam, albo po cichu opowiadałem im afrykańskie historyjki.

Pewnego dnia, przed południem, po porannej toalecie, wizycie lekarskiej i śniadaniu zaczęliśmy rozmawiać o tym, czym każdy zajmuje się na co dzień. Każdy opowiadał o swojej rodzinie i pracy. Kiedy przyszła moja kolej, jeden z pacjentów zapytał, jaki mam wyuczony zawód i czy mam rodzinę. Odpowiedziałem, że jestem kawalerem i mam wykształcenie technik-mechanik obróbki skrawaniem. Nie zdążyłem dokończyć, że jestem księdzem misjonarzem, gdyż na salę wszedł ordynator. Dopiero późnym wieczorem tego samego dnia najstarszy z pacjentów powiedział

do mnie: „Ale ty jesteś taki jakiś inny”. Wtedy roześmiałem się i „przyznałem się”, że jestem księdzem.

Mijały kolejne dni pobytu w szpitalu. Kolega z lewej strony zakończył leczenie szpitalne i został wypisany do domu. Na jego miejsce przyjęto kolejnego pacjenta. Był to wysoki mężczyzna, dobrze zbudowany, niewiele mówiący, lecz bacznie obserwujący otoczenie. Był inny od całej naszej grupy rozbawionych połamaneńców. Do mojego wyjścia ze szpitala brakowało już tylko kilka dni. Zdawałem sobie sprawę, że nowy sąsiad bacznie mnie obserwuje. Nie przeszkadzało mi to jednak, gdyż nie było zbyt natrętne.

Nareszcie przyszedł ten upragniony dzień, dzień opuszczenia szpitala. Trochę było smutno rozstawać się z kolegami oraz z Asią i Kubą, którzy musieli pozostać tam na długą rehabilitację. Pożegnałem się z wszystkimi. Wyszedłem na korytarz. Po zrobieniu kilku kroków po szpitalnym korytarzu usłyszałem, jak ktoś mnie woła, powtarzając dwukrotnie: „Proszę księdza, proszę księdza!”. Zatrzymałem się. Tuż za moimi plecami, już bardzo blisko mnie stał tajemniczy pacjent z mojej sali. Poprosił o krótką rozmowę. Już w pierwszych słowach zaczął mi za coś dziękować. Byłem zdezorientowany i nie wiedziałem, o co mu chodzi. Wtedy opowiedział mi smutną historię ze swego życia. Jako ochrzczony katolik chodził do kościoła i przyjmował sakramenty. Niestety jego wiara została wystawiona na poważną próbę. Bohaterem jego opowieści był kapłan, którego słowa i postawa zraniły go na wiele lat. Zapytałem: „Ale za co ty mi dzisiaj dziękujesz? Przecież niewiele ze sobą rozmawialiśmy przez te kilka dni spędzonych na jednej sali”. Kiedy zaczął mówić, można było wyczuć niesamowite

emocje w jego głosie i zobaczyć je w gestach. Mówił bardzo cicho, tak aby na korytarzu nikt nie usłyszał jego słów. To było świadectwo przemiany jego życia, nawrócenia, które dokonywało się w ostatnich dniach mojej obecności w szpitalu. W kilku wypowiedzianych zdaniach uświadomił mi, czego tutaj doświadczył. Powiedział: „Słuchaj, ty jesteś księdzem i misjonarzem. Rozmawiałeś i traktowałeś każdego z nas jak znajomego, a nawet jak przyjaciela. Nawet jeden raz z twoich ust nie wyszły słowa moralizowania i obrazy majestatu, kiedy ktoś z nas sobie zaklął, grając w karty. Jednakże to, co było dla mnie największym przeżyciem, to twój sposób traktowania Asi i Kuby. My wszyscy staraliśmy się traktować ich z szacunkiem, ale ty ich traktowałeś, jakby byli w stu procentach zdrowi umysłowo. Te duże dzieciaki często siedziały obok ciebie i w twojej obecności czuły się, jakby były w domu. Po ponad 20 latach po odejściu od Kościoła zobaczyłem księdza, który jest człowiekiem takim jak ja, który nie staje na piedestale władzy i funkcji, jaką sprawuje, ale jest jednym z nas. Dając nadzieję Asi i Kubie poprzez okazywanie im serca, dałeś nadzieję wszystkim nam, którzy byliśmy tego świadkami. Zrozumiałem, że nie zdrowie fizyczne czy psychiczne daje nam prawdziwe szczęście, lecz Bóg obecny w sercu człowieka. I to jest nadzieja!“. Kiedy żegnaliśmy się, powiedział, że wraca do Kościoła i bez względu na jakiegokolwiek trudności będzie uczestniczył w jego życiu.

Zrobiło mi się ciepło na sercu, kiedy wsłuchiwałem się w świadectwo nawrócenia i przemiany sąsiada ze szpitalnej sali. Wiedziałem, że źródłem tej niezwyklej przemiany był Bóg, który sprawił, że znaleźliśmy się w tym samym miejscu i czasie. Poprzez to doświadczenie Bóg utwierdził mnie

w realizowaniu z gorliwością i radością powołania otrzymanego od Niego, a mojemu sąsiadowi wrzucił w serce iskrę nadziei, która bardzo szybko zapłonęła.

W szpitalu, w którym spędziłem niewielki kawałek mojego życia, spotkałem 83-latka, który miał nadzieję, że z nową protezą biodra będzie mógł chodzić na spacer do lasu; młodego studenta, który odstąpił mi swoje niebiesko-żółte kule i który miał nadzieję skakać jak koza i zdobywać nowe górskie szczyty po operacji kolana; „rozrywkowego” pracownika budowy, ale przede wszystkim kochającego męża i tatę, który miał nadzieję na powrót do domu w pełni sił po naprawieniu połamanych kości, aby zapewnić rodzinie bezpieczeństwo i godne warunki życia; Asię i Kubę, którzy – chociaż nie do końca rozumieli, co się z nimi dzieje – cieszyli się, że są kochani i potrzebni; szpitalnego sąsiada, którego serce Bóg zapalił iskrą nadziei i nadał sens jego życiu.

Patrząc na tych kilka szpitalnych przykładów „nadziei”, myślę, że my jako chrześcijanie powinniśmy być jej świadkami, a nie bezmyślnie i nieodpowiedzialnie powtarzać brednie wymyślane przez ideologie niosące śmierć, nienawiść, obojętność na temat nadziei. Ktoś twierdził, że wiara jest „opium ludzi”. Inny nazwał nadzieję „matką głupich”. A kolejny człowiek miłość określił jako wynik „procesu chemicznego” zachodzącego w mózgu. Są to krótkie, lecz często powtarzane definicje wartości stanowiących fundament relacji człowieka z Bogiem. Można zadać pytanie, komu i dlaczego zależało – i nadal zależy – aby te relacje wykpić, ośmieszyć lub sprowadzić do czysto technicznych pojęć niemających większego znaczenia dla człowieka

i jego rozwoju. Dzisiaj nie będzie łatwo znaleźć odpowiedź na to pytanie, gdyż przyczyn i ludzi z tym związanych jest wielu i każdy ma trochę inny cel do osiągnięcia. Dla ludzi wierzących nie jest jednak tajemnicą, że zły duch – szatan jest tym, któremu najbardziej zależy na kompletnym zniszczeniu relacji człowieka z Bogiem. W tym wszystkim warto pamiętać, że szatan jest głupi. Dlaczego? Odpowiedź jest bardzo prosta! Bóg jest mądrością i od Niego ona pochodzi. Szatan, odrzucając Boga, odrzucił wszystko, co od Boga pochodzi, w tym mądrość. Nadzieja nie jest matką głupich, lecz Bożym darem i pocieszycielką w naszym zagubieniu i naszych cierpieniach.

MISJE

Młody misjonarz po pierwszym miesiącu w Afryce wie o kontynencie, kraju, plemieniu, ludziach oraz o wykonywanej pracy prawie wszystko i jest w stanie napisać o tym książkę na przynajmniej 500 stron. Po 10 latach życia i pracy w tym miejscu rozumie i wie coraz mniej. I być może napisałby kilkanaście lub kilkadziesiąt stron już nie o miejscu i ludziach, lecz o swoim własnym życiu i bogactwie swoich doświadczeń. Wreszcie po 30 latach pobytu na misjach odkrywa, że już nic nie wie i niczego nie rozumie. I nie ma o czym pisać. Po prostu żyje, a każdy dzień swego życia według Ewangelii Chrystusowej zapisuje już nie na papierze, lecz w sercach napotkanych ludzi.





Po kilku pierwszych miesiącach w Angoli i odwiedzeniu kilku naszych placówek misyjnych zostałem poproszony o wyjazd do N'dalatando. Głównym celem podróży nie było zwiedzanie pięknych okolic, lecz wsparcie chorego na malarię współbrata. Ojciec Patrício od pewnego czasu chorował, był osłabiony i potrzebował pomocy. Nasz werbistowski przełożony, o. Gustawo, poprosił mnie, abym pozostał z o. Patrício, aż dojdzie do siebie. Miałem pomóc w pracy w Niższym Seminarium diecezjalnym św. Męczenników Karola Lwangi i Towarzyszy. Oznaczało to kilkutygodniowy pobyt w tym miejscu. Jak to w życiu bywa, kilka tygodni przerodziło się w pięć niesamowitych i niezapomnianych lat.

Na wjeździe do miasta odbyła się rutynowa kontrola policyjna. Następnie poruszając się główną ulicą, która jednocześnie była najważniejszym szlakiem pomiędzy Luandą a północno-wschodnią częścią Angoli, mijaliśmy sklepy, warsztaty i domy mieszkalne w większości będące zabudową pokolonialną. W centrum miasta tylko gdzieś tam można było zobaczyć typowo angolskie zabudowania zbudowane z bloków z czerwonej cegły.

Powoli zbliżamy się do celu. Jedziemy ulicą o ciekawej nazwie: Rua da Missão – ulica misyjna lub misji. Potem dowiedziałem się, że znaczną część tej ulicy określano jako mały Watykan. Zbliżyliśmy się do granic miasta, w oddali widać już palmy i inną roślinność tropikalną. Ostatnie zabudowania przed tropikalnym lasem, po prawej stronie ulicy, otoczone są niewysokim murem. Wielki jednopiętrowy

budynek z okratowanymi oknami na parterze. Nad głównym wejściem do budynku widnieje napis w języku portugalskim: Seminário Diocesano de N'dalatando. Przed budynkiem wyszedł średniego wzrostu mężczyzna o latynoamerykańskich rysach twarzy. Przywitał nas z wielką radością. Po pierwszej wymianie zdań wydawało mi się, że rozmawia z nami po hiszpańsku. Dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że to jednak portugalski z mocnym akcentem języka hiszpańskiego z Chile, skąd pochodził nasz gospodarz. Ojciec Jorge Patrício Vega Velasco, werbista tak jak ja, już od kilku lat pracował w N'dalatando. Ponieważ tamtejsza diecezja była bardzo młoda, miała zaledwie 10 lat, nie miała jeszcze kapłanów diecezjalnych. Don Pedro Luís Scarpa, biskup tejże diecezji, najpierw przekazał formację nowych powołań kapłańskich braciom marianom, a po kilku latach werbistom.

Otrzymałem pokój na pierwszym piętrze z balkonem i z widokiem na Rua da Missão. Po drugiej stronie ulicy, delikatnie w prawo znajdowała się katedra i przylegające do niej zabudowania parafialne należące do Misjonarzy Ducha Świętego. Każdego dnia, bardzo wcześnie rano, słyszałem ludzi przechodzących pod moim oknem, rozmawiających w jakimś dziwnym języku. Pewnego razu postanowiłem wstać przed piątą, wyjść na balkon i przypatrzeć się, co ludzie robią o tej porze. Na zewnątrz było jeszcze szaro. Wszyscy ludzie szli w tym samym kierunku, z miasta do dżungli. Jedni podążali samotnie, inni maszerowali z całymi rodzinami. Kobiety niosły na głowach niewielkie tobołki, na plecach małe dzieci, a w dłoniach narzędzia do uprawiania ziemi. Mężczyźni raczej nieśli tylko narzędzia. Starsze dzieci biegały wokół dorosłych. Pomachałem

ręką do przechodzących i pozdrowiłem ich po portugalsku, mówiąc: „Bom dia” („Dzień dobry”). Uśmiechając się, odpowiedzieli również po portugalsku. Niektóre dzieci mówiły w niezrozumiałym dla mnie języku. Przypomniałem sobie wtedy słowa jednego ze starszych misjonarzy, że znajomość języka miejscowego jest bardzo ważnym elementem inkulturacji, czyli poznawania i wchodzenia w kulturę ludzi, wśród których chcemy głosić Ewangelię. Następnego dnia stałem już nie na balkonie, ale na chodniku, witając się z przechodzącymi ludźmi. Nieśmiało zaciepiłem kilka osób i poprosiłem, aby nauczyli mnie pozdrowienia w ich języku. Najbardziej chętne do bycia moimi nauczycielami były dzieci. Po wielu nieudanych próbach udało mi się pozdrowić kilku dorosłych w języku kimbundu. Z dnia na dzień poznawałem coraz więcej słówek i zdań w tym języku.

Od samego początku mojego pobytu w Angoli wszyscy zwracali się do mnie tak samo, jak do innych kapłanów, czyli „padre Henrique” („ojcie Henryku”). Również w N’dalatando seminarzyści i sąsiedzi używali tej samej formy. Lecz pewnego dnia to się zmieniło. Rano spotkałem kilku kleryków, którzy tak jak ja szli do kaplicy na Eucharystię. Zgodnie ze zwyczajem pozdrowiłem ich, mówiąc: „Bom dia, jovens” („Dzień dobry, młodzieży”). W odpowiedzi usłyszałem: „Bom dia, Kota Henrique”. Zrozumiałem „bom dia” i „Henrique”, ale co oznaczało „Kota” – nie miałem zielonego pojęcia. Coraz więcej ludzi zaczęło używać tego określenia, a mnie było niezręcznie zapytać, co to znaczy.

Podczas wykonywania codziennych prac w seminarium rozmawiałem z kilkoma klerykami o ich powołaniu i drodze, jaką musieli przebyć, aby znaleźć się w seminarium.

Jeden z nich kilkakrotnie użył wyrazu „Kota”, opowiadając o swoim powołaniu i o swojej rodzinie. Był to dobry moment, aby rozwikłać zagadkę „Kota”. Zadałem nurtujące mnie od dłuższego czasu pytanie: „Co to znaczy »Kota«?”. Odpowiedź okazała się bardzo prosta. „Kota” to słowo w języku kimbundu oznaczające osobę starszą, często używane w stosunku do osób w podeszłym wieku, takich jak dziadkowie. Kiedy ten wyraz używany jest wobec młodszych osób, może wyrażać wielki szacunek i uznanie wobec kogoś, kogo bardzo się ceni. Przyszedł czas, aby zadać drugie niemniej ważne dla mnie pytanie: „Dlaczego mnie »ochrzczono« tym określeniem?”. Odpowiedź, nie ukrywam, trochę mnie zaskoczyła. Najstarszy wiekiem i stażem w seminarium kleryk, z poważną miną powiedział tak: „Kota Henrique, jesteś wśród nas zaledwie kilka tygodni. Prawie każdego dnia poznajesz nowe słowa i zdania w naszym plemiennym języku, pozdrawiasz nas i naszą starszyznę, posługując się kimbundu. Ty, biały misjonarz z Europy, nie pogardziłeś naszym językiem, chociaż, tak jak inni, mogłeś używać tylko portugalskiego. Jest to dla nas świadectwo, że szanujesz naszą kulturę, nasz język i nasze zwyczaje i że na równi z językami białych ludzi traktujesz nasz język plemienny. Wielu białych (obcokrajowców) żyjąc w Angoli od dłuższego czasu, nie nauczyło się nawet kilku słów w kimbundu. Pokazałeś, że słowa z Ewangelii, że jesteś naszym bratem, nie są tylko głoszoną teorią, ale rzeczywistością, i dlatego przyjęliśmy ciebie jako naszego starszego brata i nazwaliśmy „Kota”.

To wydarzenie, prócz emocjonalnej reakcji i dumy z wyróżnienia, jakim zostałem obdarzony, przeniosło mnie do biblijnego świata Chrystusowych paradoksów. Jezus

zaskakiwał uczniów Bożą ekonomią zbawienia, w której to, co małe i niepozorne, ubogie i pokorne, chore i cierpiące, ważniejsze jest od zdrowia, bogactwa, tytułów i pochwał. Nawet sposób, w jaki umarł Jezus – możemy powiedzieć – rozczarował apostołów. Zamiast umrzeć jako bohater na polu bitwy, umarł na krzyżu tak jak niewolnicy i przestępcy.

Myślałem, że kilka słów i zdań w języku kimbundu wypowiedzianych przeze mnie to nic wielkiego, a Bóg sprawił, że to one stały się bardzo ważnym punktem odniesienia w życiu i pracy misyjnej w Angoli. To kolejny Chrystusowy paradoks, który przemienił moje życie.



W tym roku miałem okazję poznać sługę Bożego Floriberta z Demokratycznej Republiki Konga. Do tej pory nie wiedziałem, że ktoś taki istniał, a tym bardziej co robił i dlaczego został ogłoszony sługą Bożym. Miał zaledwie 26 lat, kiedy w 2007 r. zakatowano go na śmierć. Nie miałem zielonego pojęcia, że byliśmy sąsiadami przez wiele lat. W latach 1996–2007 mieszkaliśmy w odległości około 3000 kilometrów od siebie, on – w Demokratycznej Republice Konga, w mieście Goma, a ja – w Angoli na przedmieściach Luandy. Odebrano mu życie, bo nie chciał przyjąć łapówki za dopuszczenie na rynek skażonej żywności. Kim był Floribert? Odpowiedź jest bardzo prosta – był młodym wierzącym człowiekiem, który należąc do katolickiej wspólnoty, pomagał dzieciom ulicy i biednym. Był człowiekiem, który Boga poznawał poprzez sakramenty, medytując Jego słowo i dotykając Go fizycznie w cierpiących ludziach.

Patrząc z daleka, niejako stojąc na uboczu, łatwo powiedzieć, że nie wolno przyjmować łapówek i należy walczyć z korupcją. Kiedy jednak żyje się w miejscu, w którym korupcja i łapówki są sposobem na życie, a wszelki sprzeciw wobec tych praktyk może skończyć się dramatem lub tragedią, to wtedy najtwardszy obrońca praworządności się ugnie.

Pamiętam dwa wydarzenia z Angoli. Wracając z misji w Kakulamie do N'dalatando zostaliśmy zatrzymani przez wojskowy patrol. Za przejazd przez ich punkt kontrolny zażądali bardzo dużej nielegalnej opłaty. I co tu zrobić? Jesteśmy w środku lasu, w samochodzie kilku kleryków i ja. Zapłacę i uśmiechnę się, to nas przepuszczą. Odmówię, wcielą kleryków do wojska i poślą na pierwszą linię frontu. Uśmiechnąłem się... i zapłaciłem. Innym razem, jadąc ulicami Luandy, zostałem zepchnięty przez ciężarówkę na chodnik. Killkadziesiąt metrów od miejsca zderzenia stał policjant. Ucieszyłem się, mając nadzieję, że kierowca ciężarówki otrzyma przynajmniej upomnienie. Policjant nie podszedł do niego, lecz do mnie. Poprosił o prawo jazdy i zażądał pieniędzy. Nie dałem mu ani grosza i straciłem prawo jazdy na kilka dni. Takie sytuacje nie należały do rzadkości. Oj, niełatwo jest iść pod prąd.



W pierwszych latach XXI wieku pewien młody misjonarz przybył do Angoli po raz pierwszy w życiu. Było to również jego pierwsze spotkanie z afrykańskim kontynentem i tym afrykańskim krajem. Wszystko wokół niego było nowe i piękne, począwszy od tropikalnego świata

przyrody, poprzez wielorakie zewnętrzne przejawy tubylczej kultury, aż po samych Angolczyków z niezgłębionym bogactwem ich życia duchowego. Niejeden podróżnik, turysta czy obieżyświat dałby wiele, aby znaleźć się w tym miejscu i doświadczyć tego wszystkiego, czego młody misjonarz mógłby doświadczyć, GDYBY...

Upłynęło niewiele czasu, odkąd młody misjonarz przybył do Angoli. W tym czasie poznał dwie lub trzy nasze wspólnoty misyjne. Pewnego dnia wraz z innymi misjonarzami wyruszył w drogę do bardzo odległej od stolicy kraju placówki misyjnej. Tak jak każdy inny młody misjonarz został przyjęty przez miejscową ludność z wielką radością i honorami. Diecezja, na terenie której się znajdowali, w tym czasie przeżywała jakiś wielki okrągły jubileusz. Wszystkie chrześcijańskie wspólnoty przygotowały tańce i śpiewy na wspólną Mszę Świętą. W uroczystościach miały wziąć udział tysiące ludzi ubranych w odświętne i tradycyjne stroje. Takie gigantyczne uroczystości odbywają się naprawdę bardzo rzadko i są poprzedzone miesiącami przygotowań. Wspólnoty parafialne wkładają w organizację całe serce. Udział w takich wydarzeniach to duchowe i wspólnotowe przeżycie nie do opisania.

Nadszedł upragniony i oczekiwany przez wszystkich dzień wielkiego świętowania. Siostry misyjne i moi współbracia wraz z katechetami szykowali się do drogi. Do przebycia było zaledwie 60 kilometrów. W pewnym momencie zorientowano się, że w całej grupie brakuje tylko jednej osoby. Tą osobą był młody misjonarz. Po krótkim poszukiwaniu najstarszy ojciec odnalazł go w jednym z pomieszczeń naszej placówki misyjnej. Poinformował, że jest

ostatnią osobą, na którą czekają, i jednocześnie zaprosił go wymownym gestem do udania się do oczekującego na nich samochodu. W odpowiedzi usłyszał następujące słowa: „Nie pojadę z wami, ponieważ już widziałem takie uroczystości na wideo kilka lat temu w Polsce”. Ta odpowiedź zmroziła starszego misjonarza, który nie mógł zrozumieć, jak w ogóle można porównywać jakiś film z bezpośrednim doświadczeniem życia wspólnoty ludzi wierzących. To tak jakby poczuć się najedzonym po obejrzeniu filmu o schabowych.

Od tamtego wydarzenia upłynęło już wiele lat, a ja nadal zadaję sobie pytanie: jak mogę głosić Ewangelię ludziom, których nie chcę poznać i zrozumieć, których codzienne życie mnie nie interesuje, bo już wystarczająco dużo przeczytałem o nich w książkach podczas studiów teologicznych i naoglądałem się na ich temat filmów w internecie? Czy mogę poprzez studia i wszelkiego rodzaju media dotknąć Chrystusa obecnego w biednych, chorych i cierpiących? Czy Jezus Chrystus nie po to przyszedł na ziemię i stał się człowiekiem, aby dotknąć naszych ran własną dłonią?



Pobudka o 4:30 nie należy do najprzyjemniejszych. Temperatura powietrza wahała się w granicach 25–28 stopni Celsjusza. Słońce jeszcze spało na prawym boku i mogło pozostać w tej pozycji przez kolejne półtorej godziny. W szybkim przebudzeniu pomogła mi świadomość, że o 4:45 musimy wyruszyć w trasę, aby na czas dotrzeć na wykłady do seminarium diecezjalnego w Luandzie. Dziewięcioosobowy samochód marki Toyota pomieścił tym razem jedenastu kleryków i kierowcę, czyli mnie.

O tej godzinie moi pasażerowie zachowywali się nietypowo jak na dwudziestolatków, którzy pragną dla Chrystusa oddać całe swoje życie. Zamiast rozmów o Sokratesie i Emmanuelu Kancie zza moich pleców dochodziły odgłosy misia Yogi zapadającego w sen zimowy.

Po przejechaniu około 30 metrów zatrzymałem samochód i wyszedłem na zewnątrz. Tuż przy bramie wyjazdowej, zawsze zamkniętej ze względu na częste napady rabunkowe z bronią w ręku, znajdowała się niewielka wartownia, a w niej uzbrojony w kałasznikowa pracownik naszego seminarium. Porozmawiałem z nim przez chwilę o jego rodzinie, a następnie umówiliśmy się, o której wrócę z Luandy i jaki dam mu sygnał, aby wiedział, że to ja, a nie złodziej. Wróciłem do samochodu i kiedy postawiłem stopę na stopniu, aby zająć miejsce za kierownicą i jak najszybciej ruszyć w drogę, usłyszałem przeraźliwy krzyk małego dziecka. Przez okno zauważyłem, jak w moim kierunku szybko biegnie chłopak, krzycząc coraz głośniejszy i wyraźniejszy: „Ojcie, ojcie, ojcie Henryku!”. Dzieciak miał około 8–10 lat, a głos jak przekupka sprzedająca jajka na bazarku. Krzyczał, jakby odzierali go ze skóry i posypywali solą. Byłem zdezorientowany. Pomyślałem, że gdyby była to sprawa czyjejś śmierci lub ciężkiej choroby, to informację przyniósłby starszy katecheta odpowiadający za lokalną wspólnotę. Jeżeli to nie jest sprawa poważna, to po co te krzyki? Pomyślałem wtedy: „Ależ te dzieciaki są rozpuszczone przez misjonarzy i misjonarki. Prawie przy każdym spotkaniu wymuszają coś słodkiego: cukierka albo małe ciasteczko”.

Krew w moich żyłach zaczęła nabierać rozpędu, ciśnienie wzrosło, tętno przyśpieszyło, a ja zmieniłem wyraz

twarzą w taki sposób, aby okazać moje niezadowolenie i dezaprobatę dla tego typu wymuszania „rozbójniczego”. Bardzo mi się spieszyło, aby do centrum miasta dojechać jeszcze przed gigantycznymi korkami, z których znana jest stolica Angoli i nie chciałem wdawać się w rozmowę z tym dzieciakiem, będąc pewny, że on chce coś ode mnie wyciągnąć. Ponieważ bardzo krzyczał, pomimo niechęci zaczekałem, aż się przybliżył. Z dużą niecierpliwością zapytałem go, czego chce, jednocześnie tłumacząc się, że nie mam przy sobie ani drobnych pieniędzy ani ciastek. Wtedy on, ledwie mogąc oddychać po sprincie w moją stronę, spoglądając na mnie wielkimi brązowymi oczami, powiedział z uśmiechem na twarzy: „Ojcze, chciałem ojca pozdrowić i powiedzieć: »dzień dobry, jak się ojciec czuje?«”. Ten dzieciak przyleciał nie po to, aby coś otrzymać, lecz aby coś dać. Zamurowało mnie! Ależ było mi głupio!

W jednej sekundzie przestałem myśleć i martwić się tym, co jeszcze tego dnia mnie czekało: korkami w mieście, złodziejami na targu, kopaniem studni, zakupem żywności, napisaniem projektu z prośbą o nowy agregat prądotwórczy, bo stary już wyzionął ducha etc. Gest życzliwości i dobroci płynący z dziecięcego serca wyleczył mnie z dwóch chorób ludzi dorosłych: z bezustannego przejmowania się wszystkim i z pewności, że wiem, co drugi człowiek myśli i jakie ma intencje wobec mnie. W jednej chwili zobaczyłem, jak wiele mogę w życiu stracić, jeżeli z góry do kogoś się uprzedzę, a jak wiele mogę zyskać, jeżeli każdego przyjmę bez względu na to, co ten ktoś z sobą przynosi. Bo jakby nie było, Chrystus przychodzi do nas w każdym człowieku.

Patrząc z perspektywy 30 lat kapłaństwa, myślę, że chociaż wiedza, doświadczenie i zdolności w realizowaniu kapłańskiego powołania są ważne, to jest coś o wiele ważniejszego niż one wszystkie razem wzięte: to obecność biskupa czy kapłana we wspólnotce, z której uciekli przywódcy innych religii z powodu wojny; przytulenie trędowatego pogardzanego i odtrąconego przez najbliższych; przybicie „piątki” i powiedzenie dzieciakowi „dzień dobry” przed piątą rano, kiedy w zabieganiu myśli się o tysiącu rzeczy; pomoc chirurgowi w zszywaniu pacjenta, ponieważ pielęgniarka zemdląła w trakcie zabiegu; trzymanie za rękę człowieka odchodzącego z tego świata, aż do ostatniego uderzenia jego serca; przeproszenie za kazanie, w którym – z powodu nadgorliwości – pojawiły się słowa bezsensownej krytyki, krzywdzące dla wielu wiernych; świętowanie daru kapłaństwa codziennie, a nie tylko przy okazji okrągłych rocznic; sprawowanie Eucharystii pobożnie i bez dziwactwa i robienia z niej teatru jednego aktora; naśladowanie w konfesjonale miłosiernego Chrystusa, a nie obrażonego na grzechy i grzeszników inkwizytora; stawianie bezkompromisowych wymagań Ewangelii sobie i każdemu wierzącemu, nie wyłączając rodziny, przyjaciół i znajomych itd.

Czy do tego wszystkiego potrzebna jest wiedza, lata studiów i doświadczenie? Tak, są potrzebne i przydatne. Lecz ponad wiedzą jest Miłość, którą jest Bóg. To ta miłość sprawia, że stajemy się cierpliwi i wyrozumiali, odważni na wojnie i podczas operacji, wrażliwi i pokorni wobec innych. Wiedzy zabraknie, dar języków zniknie, a miłość pozostanie.



Kilka dni temu spotkałem się z moim serdecznym przyjacieleм werbistą, bp. Estanislau Marques Chindicassą z diecezji Dundo w Angoli. W trakcie rozmowy wspomniаł o wizytach duszpasterskich i znaczeniu osób świeckich, a w szczególności katechistów (liderów małych wspólnot w parafii), w życiu wspólnoty parafialnej. Tym, co najbardziej przykuło moją uwagę, były słowa na temat odpowiedzialności katechistów za formowanie kapłanów i pomoc w zrozumieniu potrzeb wspólnoty, do której zostali posłani przez swego biskupa. Biskup Chindicasse stwierdził bardzo stanowczo, że jest rzeczą jak najbardziej normalną, a nawet konieczną, aby kapłani uczyli się od katechistów, którzy mają więcej doświadczenia w konkretnej wspólnocie i znają jej radości, cierpienia i wszystkie najważniejsze potrzeby. Nowy ksiądz nie powinien się ani wstydzić, ani unosić pychą, lecz jak najczęściej spotykać się z katechistami, prosić o poradę, przyglądać się ich pracy i uczyć się od nich. Ks. bp Chindicasse powiedział, że nie wyobraża sobie, żeby było inaczej. Na potwierdzenie swoich słów przytoczył opowiadanie jednego z katechistów z wioski w mojej diecezji, N`dalatando. A było to tak:

Wczoraj przyjechał do naszej wspólnoty ks. Manuel. Jest z naszego plemienia i mówi w naszym języku, chociaż urodził się i wychował w dużym mieście, gdzie językiem używanym na co dzień jest portugalski. Na naszej misji nie było żadnego księdza ani siostry zakonnej od prawie 30 lat. Przez ten okres nie mieliśmy okazji, aby się spowiadać i uczestniczyć w Eucharystii. Młodego – rok po święceniach – kapłana przyjęliśmy z wielką radością i nadzieją. Po serdecznym

przywitaniu na drodze wśród śpiewów i tańców ks. Manuel skierował swoje kroki do jango – miejsca ważnych spotkań, w którym zgromadzona była cała starszyzna z naszej wioski i okolic. Spotkanie trwało kilka godzin i składało się z kilku ważnych elementów. Pierwszy z nich to okazanie szacunku gospodarzom, starszyźnie i katechistom. Wśród gospodarzy i starszyzny nie wszyscy są katolikami. Następnie szef wioski w kilku słowach – czyli przez godzinę z dużym hakiem – przedstawił wspólnotę, ukazując jej troski i radości. Następnie ks. Manuel przedstawił się i powiedział, w jakim celu przybył do naszej wspólnoty. Nie wystarczy powiedzieć imię i nazwisko, lecz należy opowiedzieć o sobie i swojej rodzinie. To może zająć, nie mierząc czasu, ponad godzinę. W tym czasie kobiety i dzieci przygotowywały wielką ucztę powitalną.

Przed przyjazdem ks. Manuela wybudowaliśmy dla niego „luksusowy” apartament: domek z sypialnią i biurem parafialnym oraz z kuchnią i toaletą na zewnątrz. Klimatyzacja zapewniona przez cały rok. U nas myszy, skorpionów i karaluchów nie ma za dużo, da się wytrzymać.

Po kilku tygodniach odbyło się kolejne spotkanie, w którym wzięli udział katechiści i ksiądz. Dla nas, wierzących, katolików, był to rzeczywisty początek duszpasterskiego rozeznania i rozplanowania pracy ewangelizacyjnej na najbliższe tygodnie i miesiące. Kota Mabeni, najstarszy katechista pamiętający jeszcze czasy kolonializmu portugalskiego, jako pierwszy zabrał głos. W trakcie przemowy przekazał naszemu księdzu zeszyty z pożółkłymi kartkami ze spisanyimi wszystkimi osobami, które w ostatnich trzech dekadach przyjęły sakrament chrztu. Ksiądz Manuel

nie krył wzruszenia, gdy kota Mabeni i pozostali katechiści przedstawili efekty swej trzydziestoletniej ewangelizacji wewnątrz wspólnoty. Przede wszystkim społeczność wierzących, od najmłodszego do najstarszego, znała katechizm, wszelkiego rodzaju modlitwy i nabożeństwa, a nawet całą liturgię Mszy Świętej. To, czego im brakowało i za czym tęsknili, to były: sakrament Eucharystii, pokuty, małżeństwa, bierzmowania oraz sakrament chorych.

Kolejną osobą, która zabrała głos na spotkaniu, był katechista Mavinga, mój starszy brat. Od ponad 15 lat jest odpowiedzialny za organizowanie pomocy materialnej i duchowej dla sierot, wdów i ciężko chorych osób. Każdą potrzebującą osobę zna i systematycznie odwiedza. Ksiądz Manuel otrzymał od niego listę osób będących w potrzebie. Na tej liście byli wszyscy – wierzący i niewierzący – gdyż kryterium pomagania jest cierpienie i trudności, z którymi się borykają każdego dnia. Następnie przemawiali kolejni katechiści zajmujący się różnego rodzaju apostołatami w naszej wspólnotcie.

Po wysłuchaniu tego ks. Manuel, lekko i życzliwie się uśmiechając, zapytał: „Skoro wy wszystko robicie, to co zostanie dla mnie?”. Kota Mabeni, odpowiadając równie życzliwym uśmiechem, powiedział: „Księżę, mów nam o Bogu, którego kochasz, sprawuj święte sakramenty i ucz się od nas, katechistów i całej wspólnoty, jak żyć wiarą na co dzień. A jeżeli czegoś nie wiesz, przyjdź i zapytaj się”.

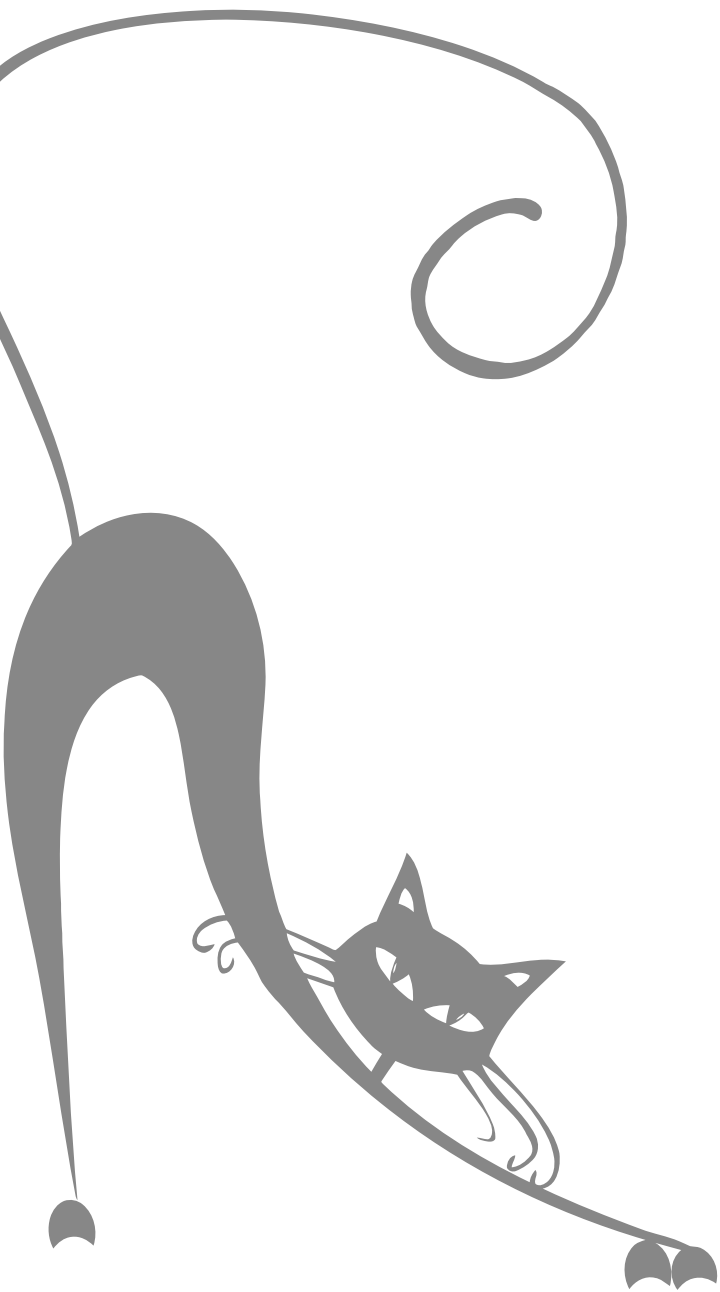
Przysłuchawszy się słowom biskupa z Angoli, przyznałem mu rację. Z jednej strony kapłan przynosi samego siebie jako zakochanego w Mistrzu ucznia, posiadającego

rozmodlonego ducha i wiedzę na temat Pisma Świętego, Kościoła i jego praw oraz dar udzielania sakramentów świętych, z drugiej zaś strony otrzymuje świadectwo wiary od świeckich, będące wzmocnieniem w jego posłudze kapłańskiej.

Do tej pory często słyszałem, że duchownych kształtuje się w seminariach i na studiach, a świeckich – we wspólnotach parafialnych. A tu okazuje się, że można inaczej i więcej. Nie tylko jako kapłani uczymy się od świeckich, lecz docieramy przez nich tam, dokąd nigdy sami byśmy nie dotarli. Naszym zadaniem jest, zgodnie ze słowami Jezusa Chrystusa, iść i głosić Ewangelię całemu stworzeniu. A przecież to nie my, księża, lecz ludzie świeccy mają dostęp do większości współczesnych pogan, którzy o Chrystusie nigdy nie słyszeli. Spotykają się z nimi w miejscach pracy, urzędach, w miejscach wypoczynku. Ci niewierzący nigdy by nie uwierzyli, gdyby osoby świeckie nie opowiedziały im o osobistym spotkaniu z kochającym i przebaczącym Bogiem. Tacy ludzie nie przyjdą do kancelarii i siedzącego tam księdza, prosząc o dar wiary. Do nich trzeba wyjść, wsłuchać się w rytm ich życia, dać świadectwo swoim własnym życiem i wskazać na Tego, który nadaje sens.

POD PRĄD

W roku 1970, gdy miałem pięć lat, spotkałem po raz pierwszy w życiu „świętego”. Był to oczywiście Święty Mikołaj. Na szczęście nie pamiętam tego wydarzenia, ale zostało ono uwiecznione na fotografii. Dlaczego „na szczęście”? Mina Świętego Mikołaja i moja – mówią same za siebie. Tylko moja siostra zdołała zachować zimną krew w obecności tak dziwnie wyglądającego „świętego”. To zdjęcie, odnalezione po latach, sprowokowało mnie do refleksji nad tym, do czego zaprasza nas Bóg, kiedy mówi: „Świętymi bądźcie, bo Ja jestem święty” (1P 1,16) oraz „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (Mt 5,48). Jaki jest obraz świętości i doskonałości w moim umyśle i w moim sercu? Odpowiedź na to pytanie jest ważna, gdyż od niej zależy, ku czemu i w jaki sposób będę podążać. Gdyby tak np. w moim życiu rozumienie świętości ograniczało się do wizerunku Świętego Mikołaja ze spotkania w przedszkolu, to pójście za taką świętością mogłoby się dla mnie bardzo źle skończyć.





W roku 2011 miałem okazję odwiedzić Gorzków, niewielką miejscowość w okolicach Bochni na południu Polski, w której siostry Franciszki Misjonarki Maryi miały nowicjat. W trakcie kilkudniowego pobytu wybraliśmy się na wycieczkę, której głównym celem były dwie miejscowości: Zabawa i Wał-Ruda. Obydwa te miejsca związane są z bł. Karoliną Kózkówną, która mając niespełna 16 lat, 18 listopada 1914 r. została zamordowana przez carskiego żołdaka. Przed przyjazdem w to miejsce niewiele wiedziałem o Karolinie. Moja wiedza ograniczała się do informacji z kalendarza liturgicznego, że jest jakaś młoda błogosławiona ogłoszona dziewicą i męczennicą.

Pierwsze kroki skierowaliśmy do sanktuarium bł. Karoliny Kózkówny w Zabawie. Niewielki kościół pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej przyjął nas modlitewnym skupieniem. Promienie słońca wpadające przez witraże również sprzyjały modlitwie i wyciszeniu. Przez dłuższą chwilę trwaliśmy zanurzeni w modlitewnym skupieniu. W pewnym momencie dołączył do nas ksiądz proboszcz. Od niego dowiedziałem się o wielu ważnych szczegółach z życia bł. Karoliny. Z sanktuarium udaliśmy się do miejscowości Wał-Ruda, z której pochodziła bł. Karolina. Stałem przy jej łóżku, przy którym ona często klęczała w nocy, odmawiając różaniec. Jej tata nieraz prosił, aby poszła spać, bo już jest późno i zimno, ale ona jeszcze przez chwilę chciała się modlić. Kiedy tylko mogła, uczestniczyła w Mszy Świętej, odwiedzała chorych, nie pozwalając, aby biedni odeszli głodni, a ciężko chorych przygotowywała do przyjęcia wiatyku. W sąsiedztwie jej rodzinnego domu stoi wielka

grusza. To tutaj, u stóp – dzisiaj majestatycznego – drzewa Karolina uczyła dzieci religii.

Ruszyliśmy drogą krzyżową prowadzącą od domu rodzinnego Karoliny, przez łąkę i las, aż do miejsca męczeńskiej śmierci. Nie pamiętam ani jednego słowa z rozważań z tamtych stacji drogi krzyżowej. Pamiętam tylko wysokie drzewa, wszechogarniającą ciszę i refleksję nad całym jej życiem zawartym w 16 latach ziemskiego życia: umarła tak, jak żyła – zawsze zjednoczona z Chrystusem, a w miejscu swej śmierci, pośród drzew, gdzie oddała swe życie, zjednoczyła się w swym cierpieniu z ukrzyżowanym Chrystusem.

Przyglądając się i poznając coraz lepiej życie bł. Karoliny, zaczynam na swój sposób rozumieć świętość, do której Bóg wezwał naród wybrany, zwracając się do Mojżesza w słowach: „Bądźcie świętymi, bo Ja jestem święty, Pan, Bóg wasz!”. Być świętym to nie czynić zła, lecz czynić dobro, to być miłosiernym wobec cierpiących, chorych i samotnych, tak jak sam Bóg jest miłosierny. Karolina stawiała się świętą, dotykając Boga obecnego w Eucharystii i na modlitwie, obecnego w każdym człowieku, dotykając dłońią schorowanych i cierpiących, ocierając łzy płaczących z bólu i smutku, i dotykając apostołską gorliwością i radością serc tych dzieci, którym głosiła Dobrą Nowinę, katechizując je pod gruszą.



27 sierpnia 2018 r., na berlińskim lotnisku, przyklejając nos do wielkich szyb odgradzających oczekujących od oczekiwanych, próbowałem rozpoznać cztery osoby, których nigdy w życiu nie widziałem. Około tygodnia wcześniej pokazano mi zdjęcie całej czwórki sprzed kilku lat. Razem ze mną biegał i wypatrywał oczekiwanych gości ks. Marek. „Wreszcie” – powiedział, widząc informację na ekranie o wylądowaniu samolotu z Brazylii. Po kilkudziesięciu minutach oczekiwania w wielkim napięciu dostrzegliśmy tłum ludzi kroczących z bagażami do drzwi wyjściowych. W tłumie podróżnych zobaczyłem Japonkę bardzo podobną do jednej z osób, na które czekaliśmy. Tuż za nią kroczyła kilkunastoletnia dziewczyna. Obok nich pojawił się uśmiechnięty mężczyzna z synem. Było widać, że około 10-letni chłopak był bardzo podekscytowany. Kiedy zobaczył ks. Marka i mnie, zaczął do nas machać na powitanie. Dopiero w tym momencie rozpoznałem całą rodzinę ze zdjęcia. Kiedy przeszli przez ostatnią bramkę na lotnisku, bardzo serdecznie przywitaliśmy naszych gości z Brazylii, którzy do Polski przylecieli na zaproszenie ks. Marka Maciążka, kustosa Sanktuarium Dzieci Fatimskich w Szczecinie.

Dlaczego ks. Marek zaprosił tę właśnie rodzinę z małego brazylijskiego miasteczka o nazwie Juranda do swojej parafii w Polsce? Historia tego spotkania bierze swój początek w wydarzeniach z Fatimy w roku 1917. Wtedy to Najświętsza Maryja Panna ukazała się trójce ubogich pastuszków i przekazała im orędzie wzywające do nawrócenia i przemiany życia. Od tego momentu Hiacynta, Franciszek i Łucja stali się jego gorliwymi głosicielami. W przypadku

rodzeństwa Hiacynty i Franciszka Marto nie trwało to zbyt długo, ponieważ Bóg przyjął ich do swego królestwa w niebie, gdy byli jeszcze małymi dziećmi. Łucja dożyła sędziwego wieku jako karmelitanka.

W 1958 r. rozpoczął się proces beatyfikacyjny rodzeństwa Marto. My, werbiści, mieliśmy w nim niemały udział poprzez naszego współbrata, o. Ludwika Kondora SVD, który od 1960 r. aż do śmierci w 2009 r. był postulatorem w procesie beatyfikacyjnym Hiacynty i Franciszka. Po wielu latach badań teologicznych papież św. Jan Paweł II beatyfikował dzieci fatimskie w jubileuszowym roku 2000. Aby dzieci mogły być kanonizowane, czyli ogłoszone świętymi, potrzebny był cud. Jak wiemy, z cudami nie jest tak łatwo. Pan Bóg, na szczęście, nie jest ani wróżką ani szeptuchą, które ludzi mamią i oszukują cudeńkami. Bóg dokonuje niezwykłych cudów, które znamy z opisów ewangelicznych – uzdrawia ciało i umysł od słabości, a ludzkie serce – od grzechów i szatana. I tu rozpoczyna się historia Lucasa Maeda de Oliveira i dwójki pastuszków z Fatimy.

13 marca 2013 r. pięcioletni Lucas, bawiąc się ze swoimi kuzynami w domu dziadków, wchodzi na kanapę i spogląda przez okno na ulicę. Myśląc, że okno jest zamknięte, próbuje się o nie oprzeć. Niestety, chwilę wcześniej dziadek otworzył okno, aby przewietrzyć dom, w którym panowała wysoka temperatura – ponad 35 stopni. Ponieważ dłonie Lucasa nie napotkały szyby, wypadł przez okno z wysokości 6,5 metra i uderzył głową w betonowy podjazd do garażu. Można wyobrazić sobie dramat i rozpacz domowników. Dziadek zbiegł po schodach przed dom i wziął Lucasa na ręce, krzycząc i błagając Boga, aby nie

zabierał mu wnuczka. Według pielęgniarza, który przybył na miejsce, stan dziecka był krytyczny. W miejscowości Juranda nie było lekarza. Lucasa przewieziono do szpitala w Campo Mourão, około 80 kilometrów od miejsca wypadku.

Doktor Claudio Fernando Saran, neurochirurg ze szpitala Santa Casa w Campo Mourão, powiedział rodzicom, aby się modlili o dobrą śmierć, gdyż Lucas raczej umrze. Nawet jeśli przeżyje, to pozostanie na zawsze w stanie wegetatywnym. Znajomi i przyjaciele rodziców Lucasa zachęcali ich, aby zwrócili się z prośbą o modlitwę do sióstr karmelitanek z tego miasta. Przełożona, a zarazem założycielka tego klasztoru, odebrała telefon i wysłuchawszy całej historii, pomyślała, że Lucas i tak umrze, zatem lepiej pomodlić się za jego rodziców, aby dzielnie znieśli tę sytuację. Sama się pomodliła, nie przekazując informacji pozostałym siostrom. Po dwóch lub trzech dniach rodzina powtórnie zadzwoniła do sióstr i ponowiła prośbę. Tym razem siostra przełożona przekazała informację całej wspólnoty. Jedna z sióstr, Teresa, w chwili, w której dowiedziała się o sytuacji Lucasa, trzymała w dłoni klucz do tabernakulum. Na małym breloczku tego klucza widniały postaci Franciszka i Hiacynty, błogosławionych dzieci z Fatimy. Zwróciła się z prośbą do Boga za ich wstawiennictwem, mówiąc: „Franciszku i Hiacynto, pomóżcie Lucasowi, bo on jest dzieckiem, tak samo jak wy”. W tym samym momencie poczuła w sobie bardzo silne poruszenie i pewność, że jej prośba została wysłuchana.

Ta sama s. Teresa miesiąc przed wypadkiem Lucasa miała sen. Zobaczyła, jak siedzi nad grobem małego

dziecka, a obok niej, w milczeniu, towarzyszy jej własny tata Franciszek. Pojawił się też błogosławiony Franciszek Marto i powiedział, wskazując na grób dziecka: „Jeżeli nie będziesz się wiele modlić, to właśnie tak się stanie”. Od tego momentu s. Teresa modliła się za jakieś dziecko, które było w niebezpieczeństwie śmierci.

Eduarda, siostra Lucasa, zapytana przez jednego z dziennikarzy, co czuła, gdy jej brat leżał w stanie krytycznym w szpitalu, odpowiedziała, że czuła się bardzo dobrze i była szczęśliwa. Ta odpowiedź zaskoczyła wszystkich. Dlaczego nie była smutna i nie płakała? Odpowiedzi na te pytania udzieliła Lucila Yuri, mama Lucasa i Eduardy. Kiedy Lucas był jeszcze w śpiączce, rodzice zostawili Eduardę pod opieką cioci, gdyż nie mogli zabierać jej do szpitala. Pewnego poranka Eduarda opowiedziała swojej cioci, że w nocy przyszedł do niej ktoś w białej szacie i powiedział, aby się nie martwiła, bo jej braciszek już niebawem do niej wróci.

Lucas, przed wybudzeniem ze śpiączki, przeżył niezwykle spotkanie. Zobaczył Boga – wielkiego mężczyznę z długą brodą, siedzącego na tronie. Jego twarzy nie widział, gdyż była otoczona światłością. Bóg rozchylił chmury i ukazał Lucasowi jego siostrę śpiącą w łóżku oraz Franciszka i Hiacyntę stojących obok niej. Zapytał: „Chcesz zostać tu ze mną, czy chcesz wrócić do twojej siostry Eduardy?”. Po chwili zastanowienia Lucas powiedział, że chce wrócić do siostry i chce zobaczyć mamę. W odpowiedzi usłyszał: „Nie bój się, za godzinę obudzisz się i zobaczysz swoją mamę”.

Po tygodniu od wypadku, z piątku na sobotę, Lucasa odłączono od aparatury medycznej. Rano przy jego łóżku stało czterech lekarzy. Gdy Lucas otworzył oczy i zapytał, gdzie jest jego siostra Eduarda, lekarzy sparaliżowało. Nie mogli znaleźć wytłumaczenia, jak to możliwe, że po tak ciężkim wypadku i operacji chłopiec funkcjonuje normalnie, bez żadnych śladów doznanego urazu. W tym samym momencie do pokoju weszli jego rodzice. Ogarnęło ich, podobnie jak lekarzy i pielęgniarki, tak wielkie wzruszenie, że nie mogli powstrzymać emocji i łez.

Ten cud przyczynił się do zakończenia procesu kanonizacyjnego Franciszka i Hiacynty. Stało się to 13 maja 2017 r., w setną rocznicę objawień Matki Bożej w Fatimie. Kiedy zapytano papieża Franciszka, czy mógłby podczas obchodów jubileuszowych w Fatimie dokonać kanonizacji Franciszka i Hiacynty, odrzekł: „Wiozę dla Matki Bożej Fatimskiej złotą różę, dlaczego nie miałbym zawieźć Jej jeszcze dwoje świętych dzieci?”.

Pewna dziennikarka zadała Lucasowi pytanie: „Lucas, po co przyjechałeś do Polski?”. Odpowiedź sama cisnęła się na usta: „Aby opowiedzieć o cudzie”. Ale Lucas tak nie odpowiedział. Spoglądając prosto przed siebie, powiedział: „Jestem tutaj, aby dać świadectwo, że Bóg istnieje, i że jest w sercach wszystkich ludzi”. Dla Lucasa najważniejszym cudem jest Boże miłosierdzie, a uzdrowiona głowa to jedynie droga na skróty, aby doświadczyć cudu Bożej miłości uzdrawiającej nas z naszych słabości i grzechów.



Jeden z syryjskich biskupów, który kilka lat temu odwiedził nasz kraj, opowiadał o wojnie w Syrii i o prześladowaniach chrześcijan przez islamistyczne bojówki. On sam padł ofiarą porwania. Przez długi czas był więziony i torturowany. Nie był pewny, czy kolejny dzień nie będzie jego ostatnim na tym świecie. Jednak w niewoli doświadczył czegoś, co trudno sobie nawet wyobrazić. W ciągu dnia zdarzało się, że go bito. W nocy ci sami porywacze, którzy w ciągu dnia go bili, przychodzili pojedynczo i prosili o porady, jak rozwiązywać przeróżne problemy w rodzinie z dziećmi i żonami. Szukali u niego wsparcia i pocieszenia w różnych trudnych sprawach i cierpieniach. Jak to możliwe? Nawet w chwilach cierpienia, prześladowania i tortur ksiądz biskup nie przestał być wiernym uczniem Chrystusa, który modli się za tych, którzy go prześladowali, serce ma przepełnione miłością, a nie gniewem wobec nich i wobec doświadczanej niesprawiedliwości.

Kiedy w Indiach hinduistyczni ekstremiści napadają na chrześcijan, paląc kościoły, mordując lub gwałcąc chrześcijanki, wyznawcy Jezusa Chrystusa w obliczu tego cierpienia modlą się nie tylko za samych siebie, ale i za swoich oprawców, prosząc Boga o przebaczenie i dar nawrócenia dla nich.

Pierwsze wieki chrześcijaństwa. Już na samym początku formowania się wspólnot dochodziło do licznych i bestialskich mordów na wyznawcach Chrystusa. Z tego okresu pochodzi tekst ukazujący postawę chrześcijan wobec ówczesnego świata i wobec prześladowań. Autor listu

do Diogneta z II w. tak pisze o wyznawcach Chrystusa: „Miłują wszystkich, a wszyscy ich prześladują. Zabija się ich, a oni tym sposobem zdobywają życie; ubogimi są, ale wzbogacają wielu; pozbawieni wszystkiego obfitują we wszystko. Krzywdzeni – błogosławiają; znieważani – odpłacają szacunkiem. Dobro czynią, a karani są jak złoczyńcy... Krótko mówiąc: czym dusza jest dla ciała, tym chrześcijanie są dla świata. Są duszą świata, o ile na co dzień naprawdę są chrześcijanami”.

Biskup z Syrii, chrześcijanie z Indii, męczennicy z pierwszych wieków chrześcijaństwa – świadkowie zmartwychwstałego Chrystusa – przywołują nas dzisiaj do porządku. Swoim życiem i śmiercią, często w ekstremalnych sytuacjach życiowych, dają świadectwo wiary w Jezusa Chrystusa. Nie zamykają się w ciasnym mieszkanku swego gniewu i bezsilności wobec otaczającego ich zła, lecz tak jak Chrystus na krzyżu odpowiadają światu i swoim prześladowcom przebaczeniem i miłością. Taka ich postawa była i jest możliwa, ponieważ siłę czerpią nie z siebie samych, lecz ze Zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa.

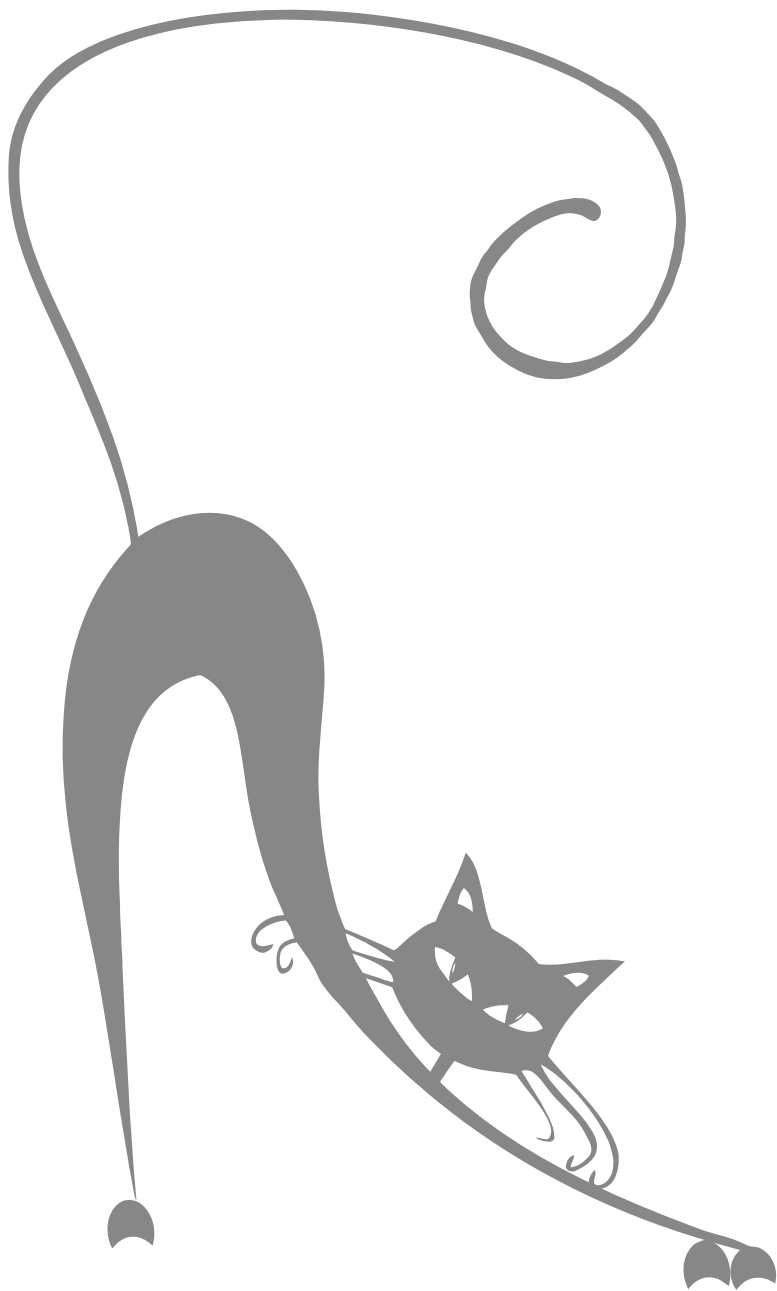
Pamiętam, jak pewna kobieta wytarła buty w wycieraczkę swojej sąsiadki. Następnego dnia sąsiadka odpowiedziała na to „niecne” zachowanie owej kobiety, wysypaniem popiołu na jej wycieraczkę. Spór i niezgoda trwały latami. W tym czasie obie panie chodziły do kościoła, spowiadały się, przyjmowały Komunię Świętą i... brudziły sobie nawzajem wycieraczkę. Mam dwóch kolegów, którzy przez wiele lat byli przyjaciółmi. Często razem pracowali, dzielili się opiniami na różne tematy, wraz z żonami i dziećmi organizowali grille i wspólne wakacyjne eskapady. I tak było do momentu, aż ulegli głupocie

tego świata i zamiast Bogu zaczęli ufać partyjnym ideologiom i mediom inspirowanym przez inteligentnego doradcę, szatana. Dzisiaj mając serca przepełnione gniewem, wołają godzinami wpatrywać się w internetowo-telewizyjne bzdury, niż usiąść wspólnie w ogrodzie i porozmawiać o pięknym życiu, które dał im Bóg.

Niestety czasem stajemy się zakładnikami gniewu. Zapętleni w gniewie jesteśmy niezdolni do dzielenia się radością, stajemy się smutni i nerwowi. W pracy szybko wypalamy się, w relacjach z ludźmi stajemy się oziębli i nieufni. Gniewamy się i trwamy w gniewie, bo uważamy, że to my mamy rację. Współczesny świat nie akceptuje niepewnych i słabeuszy. Za wszelką cenę chcemy wygrać, pokazać, kto tu rządzi. Agresja, wulgarność, przemoc i grubiaństwo stało się sposobem na życie społeczne, polityczne, a nawet rodzinne. Chrześcijaninie, obudź się! Obudźmy się!

TAJEMNICA PRZEJŚCIA

Stojąc w najwyższym miejscu klasztornego cmentarza w Górnej Grupie, przed wysokim krzyżem, z którego spogląda na mnie ukrzyżowany Chrystus, przypominam sobie lata wojny w Angoli, lata pełne nienawiści, bólu i wszechobecnej śmierci. Powracają usłyszane opowieści Sybiraków i ich potomków o dramatycznych doświadczeniach udziału w tajemnicy przejścia z tego świata wielu ich bliskich, którzy nie zdołali przeżyć okrucieństwa tamtych czasów. Myślę też o ludziach, którzy zapisali się w moim życiu jako niezwykli przyjaciele, i o tych, którzy odwracali się do mnie plecami. Dzisiaj stojąc przed cmentarnym krzyżem jako wierzący chrześcijanin, jednocząc się z ukrzyżowanym Zbawicielem, proszę Ojca w niebie, aby wszystkie dusze czyścicowe – i nawróconych oprawców, i niepokornych ofiar – przyjął do swego królestwa. To jest ostatnie i najważniejsze przejście, w którym możemy towarzyszyć duszom potrzebującym naszej pomocy – przejście z doświadczenia czyścica do wiecznej radości nieba. Jakie dusze dostają się do czyścica – nie wiem, ale jednego jestem pewien: wszystkie one są przyjaciółmi Jezusa!





Tego roku zima nie była zbyt ostra. Tylko w niektórych miejscach w Polsce trochę przyprószyło śniegiem. Wieczera wigilijna, choć bez śniegu, odbyła się w świątecznej atmosferze. Przy stole wigilijnym usiadło nas dziewięciu współbraci. Jeszcze tylko kilka dni i wejdziemy w nowy, 1991 rok. Nic nie wskazywało, aby stary, 1990 rok miał się zakończyć w jakiś nadzwyczajny sposób. Byłem wtedy studentem po drugim roku studiów teologicznych, przebywającym na rocznej przerwie w domu zakonnym w Rybniku. 30 grudnia o. Szymański, przełożony naszej wspólnoty, otrzymał wiadomość z Pieniężna o śmierci pani Frani, która w seminarium pracowała kilkadziesiąt lat, i o śmierci naszego brata zakonnego Franciszka Bruskiego, również w podobnym wieku. Jako delegacja domu misyjnego z Rybnika wyruszyliśmy na pogrzeb do Pieniężna. Po drodze zatrzymaliśmy się w naszym domu zakonnym w Warszawie. Tam dowiedzieliśmy się, że jedziemy na pogrzeb już nie dwóch, ale czterech osób. Okazało się, że tego samego dnia, ale w nocy, w wypadku samochodowym zginęli Romek i Wojtek, dwaj klerycy, koledzy z mojego rocznika nowicjatu. Obydwaj lubili grać w piłkę nożną, Wojtek był naprawdę bardzo dobrym zawodnikiem. Na co dzień w seminarium zajmował się zakrystią. Był bardzo lubiany przez kolegów, wychowawców i przełożonych. Ich śmierć tak mocno dotknęła nas wszystkich, że na ich pogrzebie prawie nikt nie był w stanie wypowiedzieć słów mowy pożegnalnej. Ojciec rektor i wychowawca próbowali, lecz nie byli w stanie wydobyc z siebie głosu. Najpierw w kościele, a później nad ich grobami zobaczyłem wielu płaczących mężczyzn – młodszych i starszych. W tych łzach nie było rozpacz, to były łzy

przejścia, przejścia trudnego i bolesnego, lecz przygotowującego wszystkich nas na dzień naszego własnego przejścia do domu Ojca.



Po niespełna trzech latach powróciłem do Rybnika już jako kapłan. Była to już druga połowa 1993 r. Jak co dzień wstałem o piątej rano i udałem się do kaplicy na terenie szpitala św. Juliusza w Rybniku. Od zaledwie kilku miesięcy pełniłem w nim funkcję kapelana. Po porannej Eucharystii wyruszyłem z Najświętszym Sakramentem w bursie do chorych i przemierzałem poszczególne piętra i oddziały. Najwięcej osób przyjmujących Komunię Świętą znajdowało się na oddziałach onkologicznych i dla przewlekle chorych pacjentów w podeszłym wieku. Musiałem sprawnie poruszać się po korytarzach szpitalnych, aby „wstrzelić się” pomiędzy sprzątające salowe, lekarzy dokonujących porannych wizyt i pielęgniarki roznoszące chorym poranną dawkę lekarstw. Tego jesienno-zimowego dnia po udzieleniu Komunii Świętej wszystkim pacjentom wróciłem do kaplicy na krótką modlitwę. Następnie, w czasie kiedy chorzy mieli śniadanie, usiadłem z lekarzami i pielęgniarkami, aby napić się porannej kawy, a przy okazji dowiedzieć się, jak minął im i chorym nocny dyżur. Następnie odwiedziłem na salach kilka osób, które poprosiły o spowiedź i rozmowę.

Kiedy zbliżyła się pora obiadowa, podeszła do mnie jedna z pielęgniarek z oddziału onkologicznego i poprosiła, abym poszedł razem z nią odwiedzić jednego z pacjentów. Weszliśmy do środka. Na sali dwuosobowej leżał jeden mężczyzna, z wyglądu 60-latek. Miał zamknięte oczy

i prawie w ogóle się nie ruszał. Nie było nawet słycać jego oddechu. Pielęgniarka przybliżyła się do mnie i szeptem powiedziała na ucho, że ten człowiek jest w stanie agonalnym i nie wiadomo, czy jeszcze na cokolwiek reaguje, czy słyszy. Poprawiła mu poduszkę i wróciła do swoich zajęć, a my dwaj zostaliśmy na sali. Usiadłem na krześle obok łóżka i delikatnie chwyciłem dłoń umierającego mężczyzny. Najpierw opowiedziałem mu, a raczej opisałem słowami wszystko, co widziałem przez szpitalne okno. Pamiętam, że świeciło słońce. Z kieszeni sutanny wyciągnąłem różaniec i zacząłem się modlić. Po dłuższej chwili obydwaj doświadczyliśmy, każdy w inny sposób, swego rodzaju „przejścia”. On już nie oddychał, a jego serce przestało odmierzać rytm ziemskiego życia. Moje serce wyraźnie przyśpieszyło, a oddech stał się głębszy. To nie był strach czy lęk w obliczu śmierci. Byłem trochę zaskoczony, że Bóg w tak prosty sposób jednym ludziom pomaga przejść do nowego życia, a innych uczy, jak im towarzyszyć w tym przejściu.



Innym razem doświadczenie przejścia z tego ziemskiego świata do tego, jak wierzymy, najwspanialszego w objęciach miłosiernego Ojca, było trudne dla mnie i o ileż trudniejsze dla młodego mężczyzny i jego trójki dzieci. Szedłem korytarzem oddziału onkologicznego. W pewnym momencie z jednej ze szpitalnych sali wybiegł zapłakany młody mężczyzna. Podeszedłem do niego z nadzieją, że będę w stanie mu pomóc. A on, z trudem składając pojedyncze wyrazy, zadał mi kilka pytań: „Proszę ojca, co mam zrobić, moja żona zmarła przed chwilą na moich rękach? Co mam powiedzieć trójce naszych małych dzieci? Jak im powiedzieć, że mamy

już po prostu nie ma?”. Stałem jak wryty, nie miałem odpowiedzi na żadne z tych pytań. Objąłem go ramieniem i przez chwilę staliśmy w milczeniu. Żona i matka, kobieta mająca zaledwie 34 lata, zakochana w mężu i dzieciach, snująca plany na przyszłość... Ona już doświadczyła tajemnicy przejścia z tego świata, lecz dla jej najbliższych dopiero rozpoczął się proces powolnego przechodzenia przez tajemnicę utraty i odejścia z tego widzialnego świata osoby tak bliskiej ich sercu.

W zrozumieniu naszego udziału w procesie przejścia z tego ziemskiego świata do domu Ojca oraz z rzeczywistości czyśćca do nieba ważne jest, w jaki sposób przeżywamy ludzkie życie i śmierć. Na ile cenimy życie przyjaciela i wroga i jaką rolę w życiu społecznym i wspólnotowym pełni śmierć.



Po rozpoczęciu pracy misyjnej w Angoli, przyglądając się i ucząc angolskiej kultury i zwyczajów, zauważyłem już na samym początku, jak bardzo różni się moje europejskie spojrzenie na życie i śmierć od spojrzenia ludzi należących do plemion zamieszkujących ten kraj.

Płacz to wyraz smutku, bólu, cierpienia po utracie bliskich. Ale niejednokrotnie zdarza się, że jest on sposobem na przeżycie. Będąc na angolskich pogrzebach, zauważyłem, że wszyscy płaczą. Pomyślałem, jak bardzo musieli kochać i szanować tę osobę, skoro wszyscy bez wyjątku wylewają strumienie łez. Proza życia wyleczyła moją naiwność, gdy dowiedziałem się, że płakać nie tylko należy, ale i trzeba,

ponieważ kto nie płacze, może zostać oskarżony o spowodowanie śmierci i jego lub jej życie długo nie potrwa. Z dużym prawdopodobieństwem nieplaczący zostanie uznany za przyczynę śmierci innej osoby i otruty.

Kolejny mały szok przeżyłem, kiedy zmarła kilkumiesięczna córeczka naszej seminaryjnej kucharki w N'dalatando. Jak to jest w polskim zwyczaju, poszedłem do niej, aby złożyć wyrazy współczucia i zapewnić o modlitwie w intencji małej Henriquety oraz całej rodziny. Pani Julia podziękowała za okazane wsparcie i dodała, głosem pełnym nadziei, że jest jeszcze młoda i urodzi jeszcze kilkoro dzieci. Zabrzmiało to, jakby zbyttno nie przejęła się śmiercią swojego dziecka. Jako Europejczyk pomyślałem, że to trochę bezduszne tak szybko zapomnieć o zmarłej córeczce. Dopiero z czasem zrozumiałem, że pani Julia cierpiała i opłakiwała swoją zmarłą córeczkę jak każdy z nas, lecz świadomość życia i jego kontynuacji oraz chrześcijańska nadzieja pozwoliły jej spoglądać w przyszłość bez niepotrzebnego zatrzymywania się i rozdrapywania tego, co należało już do przeszłości. Julia nie „zatrzymywała” na siłę Henriquety na ziemi, lecz pozwoliła jej przejść do domu Ojca.

Ważnym aspektem jest przeżywanie bólu po odejściu bliskiej osoby, we wspólnocie. Dzięki temu człowiek nie zamyka się w sobie, nie izoluje się, wpadając w rozpacz i beznadzieję. Śmierć staje się częścią rytmu życia, codzienności, w której są i smutki, i radości. Innym razem zobaczyłem kilka kobiet – żona, siostra i matka zmarłego mężczyzny rzuciły się na ziemię, targając swoje ubrania i głośno lamentując nad stratą bliskiej osoby. Tuż obok nich stały małe dzieci i młodzież, przyglądając i ucząc się od dorosłych,

jak przeżywać cierpienie we wspólnocie rodzinnej i plemiennej. To wspólnotowe przeżywanie bólu, smutku i cierpienia pomagało wszystkim przetrwać trudne momenty w ich życiu. Rodzina i plemię stawały się wspólnotami leczącymi nawet najgłębsze zranienia serca i duszy.

Niestety wieloletnia wojna domowa w Angoli oraz niektóre złe zwyczaje, tradycje i plemienne wierzenia miały i nadal mają silny wpływ na kształtowanie rozumienia wartości ludzkiego życia i śmierci. Zdarzało się, że kiedy na bazarze złapano złodzieja, bez względu na to, co ukradł, kazano mu wypić butelkę denaturatu lub benzyny, nakładano na niego stare opony i podpalano. Robiono tak, aby nic z niego nie zostało. Kierowcę, który bez względu na to, czy spowodował wypadek śmiertelny, czy tylko delikatnie kogoś potrącił, nie powodując dużego uszczerbku na zdrowiu, najczęściej zabijano na miejscu. Mówiono, że krew domaga się krwi. Krótko mówiąc, w przypadku człowieka, który jest potencjalnym zagrożeniem lub wrogiem, takim jak wspomniany złodziej czy kierowca, nie ma mowy o celebrowaniu tajemniczy przejścia – tu jest tylko zemsta i chęć unicestwienia na zawsze tej osoby, którą uznajemy za wroga.



Jako ksiądz brałem udział w wielu różnych, czasem nawet bardzo dziwnych, obrzędach pogrzebowych. W jednych eksponowano ból i cierpienie rodziny i przyjaciół. W takich sytuacjach było wiele momentów okazywania współczucia, dzielenia bólu i żalu. Smutek, wielka powaga, tęsknota zajmowały miejsce nadziei i paschalnej radości. W skrajnych sytuacjach ból przemieniał się w rozpacz

lub agresję skierowaną przeciwko Bogu, który według zrozpaczonych ludzi pomylił się i zbyt szybko pozbawił życia ukochanej osoby.

Niespełna rok temu, zwyczajem werbistowskim, wybrałem się na pogrzeb rodzonej siostry jednego z naszych misjonarzy, który od kilkadziesiąt lat pracuje w Brazylii. Z powodu podeszłego wieku i słabego zdrowia on sam nie mógł przybyć na pogrzeb z placówki misyjnej do Polski. Nie jest to odosobniony przypadek, że misjonarz nie może dotrzeć na pogrzeby swoich najbliższych, często z niezależnych od niego powodów. Podobnie było i tym razem. Ceremonie pogrzebowe miały miejsce w niewielkiej miejscowości na wschodzie Polski. Spakowałem albę i stułę i wyruszyłem w drogę. Po niespełna godzinie dotarłem na miejsce. Wszystko wskazywało, że będzie to kolejny „typowy” pogrzeb: różaniec, Msza Święta i ostatnie pożegnanie na cmentarzu. Rzeczywiście, stałe punkty uroczystości niewiele różniły się od innych pogrzebów. Wokół kościoła gromadziły się osoby ubrane na czarno, inne były już przy trumnie w kościele, modląc się, a kilka osób korzystało z sakramentu pojednania.

Nie znając prawie nikogo z rodziny i spośród innych uczestników pogrzebu, z wyjątkiem kilku współbraci werbistów z innych wspólnot, uważnie przyglądałem się wszystkim tam obecnym. Na obliczach rysował się smutek, a z niektórych oczu płynęły łzy. Ale... Było pewne „ale”. Pomimo wspomnianego smutku panowała tam dziwnie radosna atmosfera. Jeszcze przed Mszą Świętą rozmawiając z kilkoma osobami, czułem się, jakbym przyjechał na czyjeś urodziny albo wesele. Ani jedna osoba nie powiedziała

z żalem: „Jaka szkoda, że już nie ma jej wśród nas”. Można za to było usłyszeć niezwykle i pełne nadziei opowieści o wspaniałym człowieku, przecudownej mamie, żonie, babci, siostrze i przyjaciółce. Mówiono, że nigdy nie widziano jej bez różańca w dłoni. Tak było również w ostatnią noc ziemskiej wędrówki. Jedni mówią, że w trakcie rozważania tajemnic różańcowych zasnęła w Panu, a ja mówię, że w Nim się porządnie obudziła, tak że już nigdy nie zaśnie.

Kazanie było isticie ewangeliczne, pełne nadziei, a przemówienia innych kapłanów i świeckich tak w kościele, jak i na cmentarzu nad grobem miały wspólny mianownik: radość i dobroć. Mowy pożegnalne, szczególnie te na cmentarzu, były dopiero preludium radości paschalnej, której doświadczyli wszyscy zgromadzeni na modlitwie w intencji zmarłej. Po ostatniej mowie zapadła krótka chwila modlitwy w ciszy, którą zaburzył mocny i stanowczy głos jakiejś kobiety z rodziny. Być może była to córka zmarłej. Skierowała do zebranych na cmentarzu następujące słowa: „W imieniu rodziny zapraszam wszystkich obecnych dzisiaj w tym miejscu na stypę. Nikt nie może odmówić, jeżeli ktoś przyszedł pieszo, niech się nie martwi, na parkingu stoi wiele samochodów i jeżeli jest w nich miejsce, to może wejść. Ta, którą dzisiaj żegnamy, powiedziała, że nie wyobraża sobie, aby ktoś nie przyszedł na ucztę, którą ona przygotowała dla wszystkich. Wiedząc, że wydeptała już wiele ziemskich dróg i czas na te w Niebie, sama wybrała lokal na stypę oraz dokonała wyboru potraw, aby wszystkim smakowało. Prosiła również, aby był to czas ucztování z radością jak na weselu, bo nie wyobraża sobie sytuacji, w której ona w niebie skacze z radości, a my na ziemi nad nią płaczemy”.

Po takiej zachęcie wszyscy udaliśmy się do wyznaczonej restauracji. Był to lokal sporo oddalony od cmentarza. Usiadłem w samochodzie i zacząłem ustawiać nawigację. W pewnym momencie otworzyły się tylne drzwi w moim samochodzie i ktoś wrzucił torebkę i parasolkę na siedzenie. Następnie kobieta, nieco starsza ode mnie, usiadła z przodu na miejscu pasażera i spojrzała na mnie ze zdziwieniem i pytaniem w oczach: „Kim jest ten gość za kierownicą?”. Uśmiechnąłem się i zapytałem, czy zna drogę do restauracji. Odpowiedziała, że bardzo dobrze. Ruszyliśmy w drogę. Już w pierwszych słowach wytłumaczyła się z małego zamieszania, do jakiego doszło. Pomyliła mój samochód z samochodem krewnego. W kilkanaście minut poznaliśmy się, opowiedzieli historie swego życia i jeszcze starczyło czasu, aby porozmawiać o zmarłej. Kiedy dojeżdżaliśmy do celu, bolały nas szczęki od rozmowy i śmiechu. Nie do śmiechu było jej rodzinie, która nie wiedząc, że ich krewna wybrała się w podróż z misjonarzem, szukała jej po całym cmentarzu. W czasie stypy panowała taka atmosfera, o jaką prosiła ta, która świętowała wraz z Aniołami. Siedziałem w towarzystwie kilku sióstr zakonnych, kapłanów diecezjalnych i misjonarzy werbistów. Od czasu do czasu ktoś zabierał głos, dzieląc się historiami z życia naszej siostry powołanej do wieczności, które ukazywały jej głęboką wiarę widoczną w modlitwie i dobroci serca otwartego dla każdego człowieka. Jest takie powiedzenie: „Jakie życie, taka śmierć”. Ja dodałbym do tego jeszcze jeden ważny element: jakie świadectwo życia, taka inspiracja dla tych, którzy przychodzą po nas.



Święty Arnold Janssen pragnął, aby Ewangelia Bożej Miłości dotarła aż na krańce świata. Realizując tę myśl, w latach 1875–89 założył trzy misyjne międzynarodowe zgromadzenia zakonne:

Zgromadzenie Słowa Bożego (łac. *Societas Verbi Divini – SVD*) jest męskim misyjnym zgromadzeniem zakonnym. Potoczna nazwa „werbiści” pochodzi od łacińskiego *verbum*, czyli „słowo”. Charyzmatem jest głoszenie słowa Bożego tam, gdzie o nim jeszcze nie słyszano, i przygotowywanie liderów Kościoła lokalnego do samodzielnej pracy ewangelizacyjnej.

Zgromadzenie Misyjne Służebnic Ducha Świętego (łac. *Congregatio Missionalis Servarum Spiritus Sancti – SSpS*) jest żeńskim misyjnym zgromadzeniem zakonnym. Podstawowym celem jest posługa misjonarska: ewangelizacja, szkolnictwo na wszystkich szczeblach, służba zdrowia, praca wśród uchodźców i osób uzależnionych.

Zgromadzenie Sióstr Służebnic Ducha Świętego od Wieczystej Adoracji (łac. *Congregatio Missionalis Servarum Spiritus Sancti – SSpSAP*) jest żeńskim kontemplacyjnym zgromadzeniem zakonnym. Jego głównym charyzmatem jest modlitwa wstawiennicza, zwłaszcza w intencji misjonarzy i misjonek ze zgromadzeń założonych przez św. o. Arnolda i za kościół powszechny. W sercu życia zakonnego jest nieustanna adoracja Najświętszego Sakramentu.



Dom Misyjny św. Kazimierza w Kleosinie to jedna z kilkunastu placówek Polskiej Prowincji Zgromadzenia Słowa Bożego na terenie Polski. Prowadzimy działalność misjonarską i duszpasterską. Jesteśmy wsparciem dla współbraci posługujących poza granicami Polski.

Pracę misyjną naszego Zgromadzenia można wspierać, m.in. zamawiając **Misyjne Wieczyste Msze Święte**.

- **Co to są Misyjne Wieczyste Msze Święte?**

To Msze zbiorowe odprawiane na mocy przywileju Ojca Świętego, udzielonego Zgromadzeniu Słowa Bożego. Misyjne, bo są wsparciem dla misjonarzy i są przez nich sprawowane. Wieczyste, gdyż codziennie jest odprawianych siedem Mszy Świętych w intencjach osób wpisanych do Księgi Wieczystych Mszy Świętych tak długo, jak istnieje nasze Zgromadzenie.

- **Gdzie są odprawiane?**

Każda z tych Mszy Świętych sprawowana jest w innym kraju, w tym jedna w Polsce.

- **Kogo można wpisać do Księgi Misyjnych Wieczystych Mszy Świętych?**

Każdą osobę – żyjącą lub zmarłą, podając imię i nazwisko:

- dzieci, aby uprosić łaskę dobrego wychowania,
- chorych, aby uprosić łaskę zdrowia,

- stojących z dala od Boga, aby uprosić łaskę wiary,
- zmarłych, aby wybłagać łaskę nieba.

Wpis do Księgi Misyjnych Wieczystych Mszy Świętych może też być duchowym darem z okazji Chrztu Świętego, Bierzmowania, Sakramentu Małżeństwa, I Komunii Świętej, Jubileuszu, itp.

- **Czy można wpisać zbiorowo, np. rodzinę, dusze czyścicowe?**

W Polskiej Prowincji Zgromadzenia wpisujemy poszczególne osoby pojedynczo. Każda z nich otrzymuje obrazek potwierdzający wpis.

- **Jak dołączyć osobę do udziału w tych Mszach?**

Za pomocą listu, maila, telefonu lub osobiście, a ofiarę przesłać przekazem pocztowym lub bankowym. Trzeba podać swój adres do korespondencji oraz imię i nazwisko osoby, która ma być wpisana. Zmarłego poprzedzić skrótem „śp.” lub „+”.

- **Czym jest ofiara składana przy okazji wpisu do Księgi Mszy Wieczystych?**

Jest to ofiara na misyjne dzieła Kościoła realizowane przez Zgromadzenie Słowa Bożego. Składana przy tej okazji ofiara (minimum 30 zł przy wpisie każdej osoby) jest wsparciem naszych misjonarzy i tych, wśród których pracują.

- **Czy można wpisać osobę, która jest już w Księdze Mszy Wieczystych?**

Można, chociaż wpisana osoba ma już udział w owocach Mszy Wieczystych. Może to być duchowo pożyteczne ze względu na pamięć o tych osobach oraz wsparcie misjonarzy.

- **Czy należy zawiadomić o śmierci osoby wpisanej za życia?**

Wpisana osoba ma udział w owocach tych Mszy Świętych również po śmierci. Nie należy więc powiadamiać.



Polska Prowincja Zgromadzenia Słowa Bożego wydaje ilustrowany miesięcznik „**Misjonarz**”. Wydawany jest od 1983 r.

Dostarcza ciekawych informacji o życiu i pracy misjonarzy i misjonek ze zgromadzeń założonych przez św. Arnalda Janssena: Zgromadzenia Słowa Bożego (SVD), Sióstr Służebnic Ducha Świętego (SSpS) i Sióstr Służebnic Ducha Świętego od Wieczystej Adoracji (SSpSAP).

Zawiera reportaże z terenów misyjnych, listy od osób prowadzących pracę ewangelizacyjną na wszystkich kontynentach, wywiady z ciekawymi ludźmi, artykuły i eseje o tematyce religioznawczej i ekumenicznej.

Poprzez prenumeratę „Misjonarza” każdy z nas może w konkretny sposób włączyć się w dzieło głoszenia Dobrej Nowiny wśród tych, którzy wciąż czekają na Zbawiciela, Jezusa Chrystusa.

Wszystko zaś po to, aby realizować wezwanie założyciela św. o. Arnolda Janssena: „Niech żyje Święty, Trójjedyny Bóg w sercach naszych i w sercach wszystkich ludzi!”.

SPIS TREŚCI

SŁOWA MOC	4
CZŁOWIEK MĄDRY, DOBRY I ANIOŁ	9
GDY BÓG BIERZE W SWOJE DŁONIE	18
MISJE	34
POD PRĄD	51
TAJEMNICA PRZEJŚCIA	63